MŁODY NURT

ROK II
NR. 11

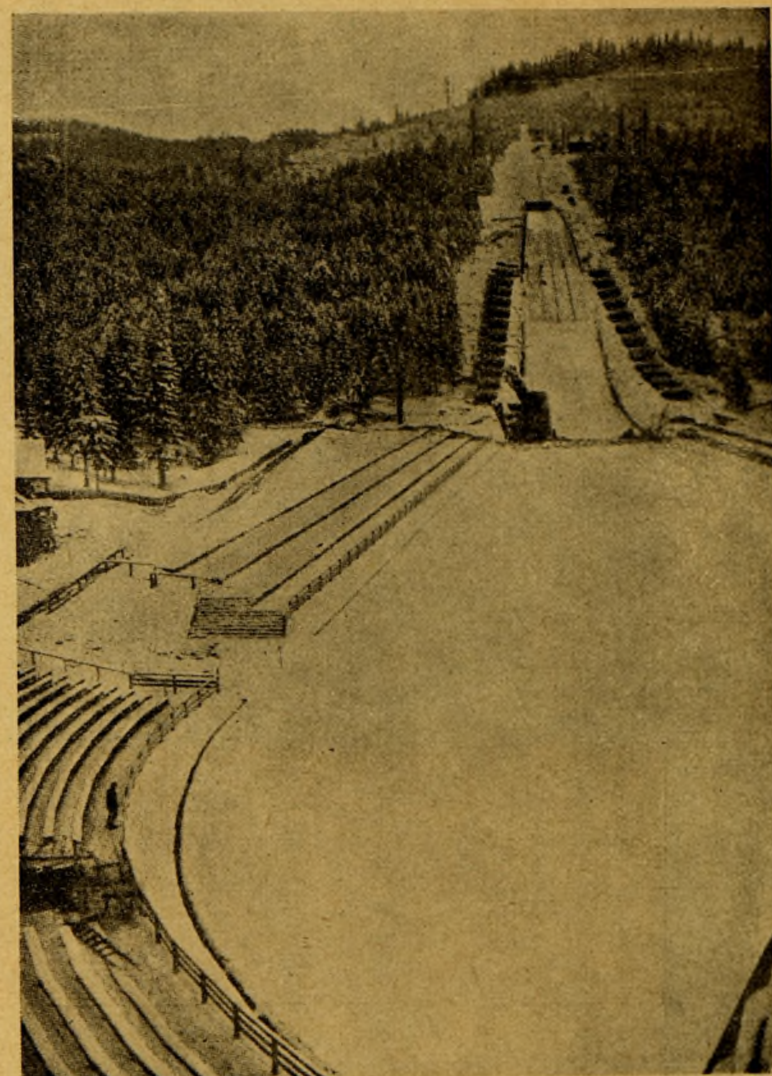


PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

ROZWÓJ ZAKOPANEGO



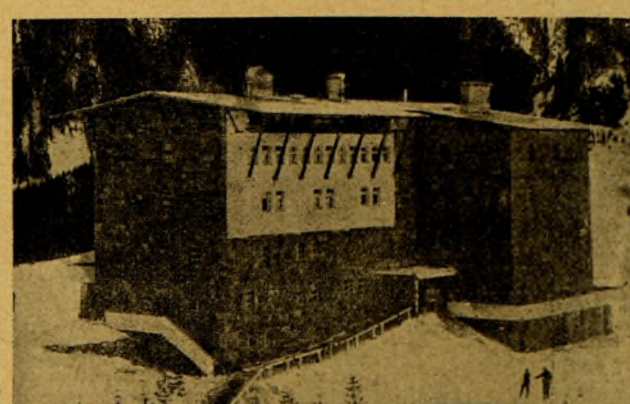
Perła naszych stacyj klimatycznych — Zakopane — jest zarazem uzdrowiskiem, które ma najpomyślniejsze widoki na rozwinięcie się w międzynarodową stację sportową i turystyczną. Roczna jego frekwencja sięga obecnie 57.000 kuracjuszy, w czym blisko 3.000 gości zagranicznych. Przyjrzyjmy się jak rosła frekwencja Zakopanego na przestrzeni ostatnich lat dwudziestu.

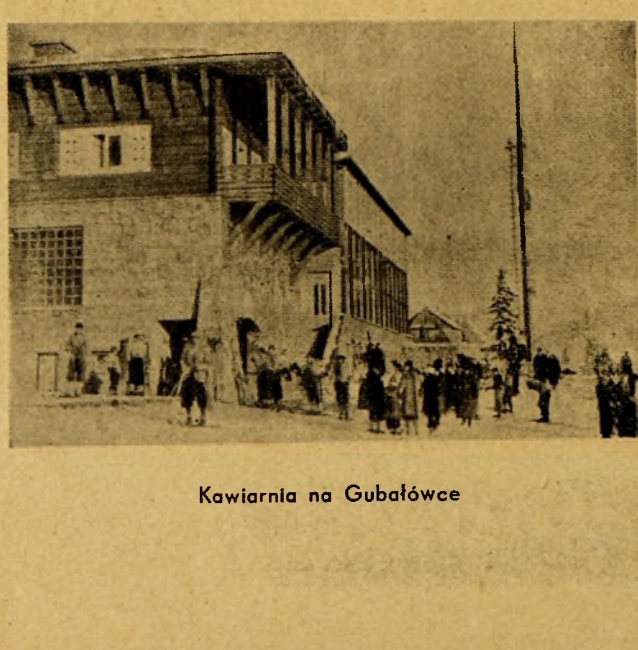

Stadion narciarski na Krokwi

W roku 1918 Zakopane cieszyło się skromną liczbą 9 tysięcy kuracjuszy. Cyfra ta z roku na rok systematycznie i szybko wzrasta, aby w ciągu 5 lat t. j. w r. 1922 osiągnąć przeszło 20.000 — czyli zwiększa się o przeszło 100%. Następne 5 lat przynoszą znowu podwojenie liczby gości — a więc w r. 1927 — w Zakopanem przebywa 42 tys. osób. Przez cały okres prosperity frekwencja utrzymuje się na tym poziomie — osiągając najwyżej 45 tys. w r. 1930 — potem zaraz następuje dla Zakopanego „dno kryzysu" i frekwencja spada nagle w r. 1931 do 40 tys. Przez cały jednak słabszy frekwencyjnie okres, uzdrowisko nie ustaje w wysiłkach i urządza coroczne imprezy jak np. I-y Samochodowy „Wyścig Tatrzański" do Morskiego Oka, Międzynarodowe Zawody Narciarskie F. I. S., I-e zimowe zawody konne, zawody międzynarodowe i pokazy w jeździe figurowej na lodzie, turnieje hockejowe „Opera Górska" i t. p.

Starania te zostają uwieńczone pomyślnym sukcesem, bo pomimo kryzysu frekwencja utrzymuje się na poziomie, a od r. 1932 stale już wzrasta w coraz szybszym tempie, aby w r. 1937 dosięgnąć imponującej liczby 57 tys., do czego przyczyniła się otwarta w stycz. 1936 r. kolejka linowa na Kasprowy Wierch.

W tym samym czasie liczba gości zagranicznych zwiększa się w podobnym stosunku: w r. 1918 mieliśmy w Zakopanem 22 cudzoziemców, w r. 1922 już 64, a za dalsze 5 lat w r. 1927 — już 839. W r. 1932 — po przebyciu kryzysu, który na frekwencji gości zagranicznych od-


Hotel turystyczny na Kalatówkach


Kawiarnia na Gubałówce

bił się wyraźnie — było ich w Zakopanem około półtora tysiąca, obecnie zaś blisko 3.000.

Rok 1939 — z powodu Narciarskich Mistrzostw FIS — przyniesie znowu znaczny wzrost frekwencji, a także liczniejszy zjazd gości zagranicznych, szczególnie, że na czas zawodów wykończono wiele inwestycyj w Zakopanem, jak np. nowy dworzec kolejowy i drugą kolejkę linową na Gubałówkę.

MŁODY NURT

PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Ministerstwo Wyzn. Religijnych i Ośw. Publicznego pismem z dn. 21 października 1938 roku Nr. II Pr. 16859/38 dało zezwolenie na abonowanie dla bibliotek uczniowskich „MŁODEGO NURTU", dwutygodnika młodzieży szkolnej.

DWUTYGODNIK

Nr 11 (14) Rok II

15 lutego 1939 roku



Świeży śnieg przed F.I.S.-em.

MIECZYSŁAW GOŁĘBIOWSKI (Warszawa)

Gdybyśmy zechcieli przeprowadzić dokładny rachunek tych wszystkich pozycji, które składają się na siłę i stopień prężności rozwojowej naszego państwa, to niewątpliwie dojdziemy do ważnego stwierdzenia, że czołową wartością w tym rachunku będzie człowiek.

ROLA PRZODOWNIKÓW W ŻYCIU POLSKI

W porównaniu z państwami Europy Zachodniej, które na przestrzeni stuleci nasyciły się materialnie, jesteśmy biedni i zajmujemy jedno z dalszych miejsc. Proces bowiem wyrównania naszych braków, powstałych w okresie niewoli, musi się oprzeć w pierwszym rzędzie o wydajną i planową pracę wszystkich obywateli. Z pracy więc milionów ludzi, zamieszkujących nasze miasta, osady fabryczne i rozłogi wiejskie rodzić się będą nowe wartości duchowe i materialne, krzepnąć będzie siła i zwartość wewnętrzna Narodu.

Życie społeczne charakteryzuje się tym, że wzajemna współzależność jednostek i grup ludzkich ujęta jest w system organizacji.

Organizacja jest tym czynnikiem, który nadaje działaniu zbiorowości ludzkich charakter celowości i planowości. U podstaw zaś każdej organizacji tkwi zasada kierownictwa i podziału pracy między poszczególnych członków zespołów, które mają wykonać określone zadania.

Realizacja powyższej zasady zapewnia zwiększenie sprawności każdej jednostki, większy wynik zbiorowej pracy i właściwe wykorzystanie zdolności i talentów ludzkich.

Postulatowi kierownictwa w systemie pracy zorganizowanej i w ogóle w każdym działaniu zbiorowym odpowiada określony typ człowieka, określanego mianem przywódcy lub przodownika. Przodownikiem jest ten, kto posiada zdolność planowania i podejmowania szerszych prac i zamierzeń, umiejętność przewidywania i usuwania trudności, kto wreszcie potrafi skupić i porwać ludzi do działania przez narzucenie im swojej woli.

Utarło się przekonanie, że na nazwę przywódców zasługują tylko ludzie, którzy dokonali jakichś niezwykłych, bohaterskich czynów, które ich rozsławiły po całym świecie. Wielu z nas pragnie w swoich najbardziej skrytych dążeniach widzieć się na stanowiskach wielkich wodzów, uczonych, artystów itp., natomiast niechętnie myśli o skromnej roli przodownika, pozornie mało znaczącej i zaniedbanej placówki społeczne. Jest to, naszym zdaniem, nastawienie błędne, bo stwarza niebezpieczeństwo wyżywania się jednostki w nieodpowiedzialnych marzeniach i zaniedbania bogatych możliwości rozwinięcia swoich zdolności twórczych przez udział w życiu i pracy najbliższego otoczenia. Droga do wielkości prowadzi prawie zawsze przez borykanie się z przeciwnościami szarej codzienności i podporządkowanie jej swoim celom.

Stefan Żeromski najlepiej rozumiał znaczenie tej pracy, skoro tak uparcie dźwigał na wyżyny bohaterstwa ludzi szarych, nieznanych, będących częstokroć w dramatycznej walce z ciemnotą, zacofaniem i egoizmem własnego otoczenia. Typy przodowników, przedstawione w utworach Żeromskiego, jak postać doktora Judyma „Siłaczki", — nauczycielki wiejskiej, imponują nam siłą charakteru, poczuciem obowiązku, bezinteresownością społeczną i namiętnością w dążeniu do urzeczywistnienia lepszych i doskonalszych form życia ludzkiego.

Obok dawnej z natury nielicznej garstki ludzi wielkich, oddzielonych od przeciętności murem swego geniuszu, na widownię życia występuje dziś wielka armia przywódców - przodowników różnego stopnia, działających „w zbiorowisku pracy".

„Prawdziwym obywatelem w Polsce, pisał Adam Skwarczyński, jest ten, kto na tym posterunku, jaki obowiązek, czy zamiłowanie kazało mu zająć, potrafi siebie samego oddać w służbę sprawie".

Postulat zorganizowanego życia wysuwa w Polsce potrzebę wyszkolenia specjalistów do wszystkich dziedzin pracy, zarówno zawodowej, jak i społecznej.

Jest rzeczą stwierdzoną, że każdy człowiek przychodzi na świat z określonymi tendencjami psychicznymi, które warunkują zajęcie przez

niego stanowiska albo oficera, albo szeregowca w życiu zbiorowym. Są to dyspozycje wrodzone, które jednak nie wyczerpują w całości zagadnienia krystalizowania się talentów i zdolności przodowniczych. Aby wrodzone zdolności mogły odegrać rolę twórczą, potrzeba jeszcze pracy samowychowawczej oraz zdobycia potrzebnego doświadczenia przez praktyczne działanie i udział w procesach społecznych. Stwierdzenie tego faktu posiada duże znaczenie dla młodego pokolenia, które stoi na progu ostatecznej decyzji wybrania takiej, czy innej drogi życia i pracy. Na tym polu mamy bardzo często wiele nieporozumień. Weźmy przykład wyboru zawodu. Iluż bowiem wychowanków szkół średnych wstępuje w mury wyższych uczelni w tym przekonaniu, że obrany rodzaj studiów służyć będzie nie rozwojowi wrodzonych uzdolnień, lecz osiągnięciu jak najbardziej intratnego zawodu, lub też stanowiska, dającego wpływy i znaczenie. Przykład ten stanowi oczywisty dowód, jak dalece marnuje się kapitał wartości ludzkich przez nieodpowiednie jego wykorzystanie. Stanowisko bowiem, to nie tylko zawód i zarobek, lecz w pierwszym rzędzie poczucie swej wartości i swej niezbędności brania czynnego udziału w twórczych procesach pracy zbiorowej. Podstawowym kryterium kształcenia przodowników winno być zasilenie życia państwowego, społecznego, kulturalnego i gospodarczego w dostateczną liczbę dobrych fachowców, z drugiej zaś strony jak najbardziej celowe wykorzystanie naturalnych zdolności ludzkich. Tę drogę wskazują nam w sposób jak najbardziej wyraźny potrzeby i zadania jakie stoją przed naszym społeczeństwem. Wiemy dobrze o tym, że w Polsce istnieje wielka armia ludzi, którzy marnują się z powodu braku możności pracy, choćby wziąwszy dla przykładu przeludnioną wieś. Z drugiej strony cierpimy w dotkliwy sposób na ogromny brak specjalistów, których bardzo często trudno jest wynaleźć i których musimy wskutek tego sprowadzać aż z zagranicy. Wiele bardzo pożytecznych i ważnych dziedzin pracy leży odłogiem tylko z tego powodu, że brak jest odpowiedniej liczby sił kierowniczych, które własną inicjatywą i przedsiębiorczością stwarzałyby coraz to nowe placówki i warsztaty pracy. Z tego, jak widzimy, zagadnienie przodownictwa posiada znaczenie zasadnicze dla przyszłego rozwoju państwa. Szczególnie ważną rolę mają przodownicy do odegrania w dziedzinie uprzemysłowienia kraju, rozwoju zdrowych placówek gospodarczych, a przede wszystkim spółdzielczości, podniesiania kulturalnego i społecznego wsi, ogólnego postępu techniki, nauki itp.

W procesie szkolenia kadr przodowniczych dla wypełnienia czekających ich różnorodnych zadań, naszym zdaniem, należy uwzględnić trzy zasadnicze postulaty: określenia właściwego stosunku jednostki do pracy zawodowej, 2) pracy społecznej i 3) do pracy nad rozwojem własnej osobowości. Harmonijna synteza tych trzech punktów stworzy właściwy typ przodownika,, przygotowanego do pełnego udziału w życiu zbiorowym.

Postarajmy się każdy z tych punktów bliżej określić i wyjaśnić.

Praca zawodowa winna być służbą społeczną, tzn. najlepszym zużytkowaniem wszystkich sił wytwórczych jednostki do najbardziej celowego zaspokojenia potrzeb materialnych i duchowych ogółu.

Przodownik w pracy zawodowej odznacza się nie tylko pełną fachowością i umiejętnością organizowania tej pracy, lecz także przeświadczeniem, że przez nią spełnia swój obowiązek służby dla dobra innych.

Ambicją każdego przodownika w dziedzinie pracy społecznej winno być podejmowanie bezinteresownych wysiłków nad stwarzaniem coraz to doskonalszych form współżycia ludzkiego, organizowanie tego współżycia, oraz służenia swoim przykładem wzorowego wypełniania obowiązków obywatelskich.

Praca nad rozwojem własnej osobowości stanowi konieczną podbudowę dla poprzednich kategorii działań ludzkich. Punktem ciężkości pracy nad sobą winno być kształcenie silnych i mocnych charakterów. Mocny bowiem charakter stanowi niezbędny warunek trwałości i zdolności do podtrzymania wysiłku i konsekwentnego doprowadzenia do końca raz rozpoczętego dzieła.

Na szeroko pomyślanej płaszczyźnie pracy zawodowej, działalności społecznej i samokształceniowej winien rozwijać się zdrowy typ przodownika, jako pracownika, działacza społecznego i wartościowego człowieka. Podjęcie w tym kierunku na szeroką skalę wysiłków przez samą młodzież wyda na pewno dodatni owoc. W ten sposób nasze życie zbiorowe zostanie zasilone przez napływ świeżych sił, które będą promieniować swymi wartościami na swoje otoczenie i przygotowywać lepszą przyszłość Państwu i Społeczeństwu.

WOJSKO NA NARTACH

Sport narciarski tak się już rozpowszechnił, że nie ma chyba zakątka Polski, w którym by nie był uprawiany. Podobnie jak rower i motocykl w lecie, narty, zwane pospolicie „deskami", stają się w zimie coraz szerzej stosowanym środkiem lokomocji, używanym nawet przez młodzież szkolną przy przebywaniu drogi, dzielącej jej mieszkania od miejsca nauki.

Nic więc dziwnego, iż wojsko, które przoduje w uprawianiu wszelkich masowych sportów, wprowadziło i stosuje narciarstwo jako podstawowy sport zimowy, szkoląc w jeździe na nartach nie tylko pojedyncze osoby, ale nawet całe oddziały. I tu właśnie kończy się narciarstwo jako sport jednostkowy, nastawiony na osiąganie takich czy innych rekordów, a zaczyna się zespołowa praca całych, większych lub mniejszych, oddziałów, **umiejących posługiwać się nartami dla celów wojennych.**

Jak to wiadomo, wielkie opady śnieżne, zwłaszcza zaś powstające przy tym zaspy, ograniczają, albo nawet wprost uniemożliwiają ruch pieszy i kołowy. Wóz grzęźnie, sanie zapadają się, a człowiek z trudem brnie w zaspach lub w głębokiej po pas warstwie śniegu, i tylko bardzo powoli może się posuwać naprzód. Ma to swoje znaczenie podczas wojny i dla wojska, które przecież nie zawsze chodzi przetartymi drogami, lecz właśnie bardzo często i z konieczności musi iść na przełaj przez teren pokryty grubą, nieraz grząską powłoką śniegu. W takich wypadkach jedynym środkiem, który umożliwia ruch naprzód, są właśnie narty.

I stąd wypływa konieczność szkolenia oddziałów większości rodzajów wojska w jeździe na nartach.

Oczywiście, że jak wszędzie tak i tu, piechota jest główną przedstawicielką narciarskich potrzeb i zainteresowań. Kolarze, którzy w innych porach roku wykorzystują rower do szybkiego posuwania się, w zimie stają się narciarzami, bo tylko narty pozwalają im na szybki marsz przez grubo śniegiem pokryty teren.

Ale i kawaleria chętnie korzysta z nart. Robi to w dwojakiej formie, tj. albo wykorzystuje narty podobnie jak piechota (marsze i zjazdy), albo też stosuje jazdę włókiem, polegającą na tym, że koń holuje narciarza tworząc w ten sposób zgraną z sobą trójkę, złożoną z konia, jeźdźca i narciarza. Ten rodzaj używania nart nadaje się dla szybkiego podciągania piechoty lub spieszonych oddziałów kawalerii po drogach lub na przełaj, o ile grubość śniegu nie uniemożliwia ruchu konia (zapadanie się).

Artyleria wykorzystuje narty dla swych zwiadów i patroli telefonicznych stosując jazdę włókiem lub normalną jazdę na nartach. Poza tym, co jest najważniejsze, przez upłozienie kół dział, artyleria może się poruszać w terenie znacznie łatwiej,niż przy zastosowaniu kół nieupłozionych. A płozy to znowu nic innego jak tylko grube, krótkie narty (odpowiednik sanic w saniach), dzięki którym koła dział i taboru nie muszą się obracać i brnąć w grubej pokrywie śnieżnej, ale mogą sunąć się po jej powierzchni.

Saperzy i wojska łączności używają nart podobnie jak piechota lub kawaleria (marsz lub jazda patroli włókiem).

Tabory stosują podkładnie płóz pod koła, przez co wozy na kołach stają się jak gdyby prowizorycznymi saniami.

Narty są więc tym sprzętem, który znacznie ułatwia ruch po śniegu i to nie tylko w górach, gdzie są liczne i duże zjazdy, ale i w obszarach nizinnych. Dzięki nartom oddziały wojska mogą swobodnie manewrować, tj. dokonywać głębszych lub płytszych obchodów, celem przedostania się w taki obszar, skąd mogą uderzyć na boki lub tyły nieprzyjaciela. A przecież dla każdego jest jasne i zrozumiałe, iż takie właśnie uderzenie jest najbardziej skuteczne (bo niespodziewane).



Z kolei parę słów o samym szkoleniu narciarzy i oddziałów narciarskich. Już na parę tygodni przed nastaniem zimy stosuje się tzw. „suchą" zaprawę, tj. marsz bez nart z pomocą kijków (lub bez), by wyrobić ścięgna i stawy nóg i rąk. Potem, gdy tylko śnieg spadnie, następuje nauka techniki jazdy na nartach (pojedyńczo, później w zespołach). Wreszcie, gdy już nauka jazdy jest dobrze opanowana, następują ćwiczenia bojowe, będące ukoronowaniem szkolenia narciarskiego.

Niezależnie od szkolenia narciarskiego, w stałych miejscach załogowania wojska, odbywają się w zimie, zwykle w terenach o dobrych i trwałych warunkach śnieżnych (w górach lub na Wileńszczyźnie), liczne kursy narciarskie dla podoficerów, podchorążych i oficerów. Każdy młody podporucznik jest wyszkolonym narciarzem, a tym samym instruktorem narciarskim, podoficerowie zaś, po odbyciu przeszkolenia na kursach, tworzą grupę przodowników narciarskich.

Dla doskonalenia się w technice jazdy na nartach i w pokonywaniu różnego rodzaju przeszkód terenowych są organizowane raidy narciarskie, należące do tzw. „mocnych" sportów. Do tej kategorii należy również coroczny „Marsz szlakiem II Brygady Legionów Polskich", wiodący drogą od przełęczy, którą w zimie 1914 r. przeszła z Węgier II Brygada, aby się bić w okolicach Rafajłowej, Piasecznej i Nadwórnej. Jest to impreza o charakterze zawodów, w której uczestniczą nie tylko drużyny i patrole wojskowe i Korpusu Ochrony Pogranicza, ale również zespoły Straży Granicznej, Policji Państwowej oraz przysposobienia wojskowego. Marsz ten odbywa się, oczywiście, na nartach.

Jeśli zaś chodzi o szkolenie większych zgrupowań narciarskich, to odbywa się ono w specjalnie wybranych rejonach (górskich, podgórskich lub nizinnych) dokąd zjeżdżają się oddziały,

wyznaczone z poszczególnych jednostek prawie wszystkich rodzajów wojska. Są tam więc kompanie lub bataliony narciarzy piechoty, oddziały narciarzy - zwiadowców, narciarze kawalerii, wyszkoleni również do jazdy przy pomocy włókna, oddziały artylerii, zaopatrzone w narty dla zwiadowców i telefonistów oraz w płozy do dział, oddziały saperów i łączności oraz odpowiedni tabor, przystosowany do poruszania się po śniegu (płozy pod kołami). Koncentracja tarka trwa kilkanaście dni i ma na celu zgrać i ujednostajnić wyszkolenie techniczne (samą jazdę) oraz nauczyć pracy w warunkach polowych przy pomocy odpowiednio dobrych ćwiczeń bojowych.



Jak z powyższego, mocno streszczonego zestawienia wynika, wojsko w pełni docenia wartość i znaczenie nart jako środka walki z nieprzyjacielem i podczas każdej zimy przygotowuje sobie nowe zasoby żołnierzy - narciarzy.

Wude

NA MARGINESIE PRACY SAMOKSZTAŁCENIOWEJ W SZKOLE

Koleżanka I. Szostakówna rzuciła parę uwag na temat konieczności podjęcia pracy samokształceniowej. Gdyby Koleżanki i Koledzy chcieli podjąć dalszą na ten temat dyskusję i zakończyć ją wyprowadzeniem wniosku i wskazaniem form pracy, Komitet redakcyjny prosi o krótkie i rzeczowe artykuły.

Redakcja

Nawał pracy... tak dużo lekcji... tyle tych egzaminów — oto co słyszy się wszędzie, gdziekolwiek jest ucząca się młodzież, a szczególnie młodzież szkół średnich.

Program tak olbrzymi, a czasu mało. To też iście oślim pędem przebiega się książki, zapisuje się masy zeszytów, pochłania się tysiące coraz to nowych i różnorodnych szczegółów. Ze szkoły wynosimy często tylko pewien zasób wiadomości, a rzadko jasne pojęcia o sprawach ogólniejszych. Faktem jest, że obecnie młodzież szkół średnich ma bardzo bogate programy, ale faktem również jest, że brak jakiegokolwiek planu w pracy uczniów, jakiejkolwiek organizacji, wyolbrzymia ją i czyni jeszcze trudniejszą; skutek jest taki, że szkoła i rozrywki często wątpliwej wartości absorbują młodzież bez reszty. Nie ma czasu na pracę samokształceniową, kto by zresztą o tym myślał. Z przykrością musimy stwierdzić, że my nie widzimy, czy nie chcemy widzieć braków w swoim wykształceniu, pojętym szerzej ponad zdobycie tylko pewnego zasobu wiedzy. Nie wolno nam jednak uogólniać, — wśród młodzieży są liczne wyjątki. Są bowiem jednostki, które widzą doskonale swe wielkie niedociągnięcia, pragną je wyrównać i wiedzą dobrze, że w tym celu należy podjąć pracę samokształceniową. Musimy sobie zdać jasno sprawę z konieczności jej podjęcia; winniśmy bowiem dążyć do użyteczności w imię do nas skierowanego apelu Prusa, w imię jego „Najogólniejszych ideałów życiowych"; użytecznymi stać się możemy tylko wówczas, jeżeli będziemy świadomi swej pracy i celów, swych potrzeb i bolączek oraz stanu naszego państwa i narodu.

Praca samokształceniowa może mieć jednak kilka postaci. Może to być praca ogólna, obejmująca tematy oderwane, zagadnienia nas interesujące specjalnie, może też dotyczyć poszczególnych odłamów życia społecznego, gospodarczego lub państwowego, poszczególnych dziedzin nauki, czy sztuki. Cokolwiek jednak omawiamy w swych kółkach samokształceniowych, musi to być traktowane wszechstronnie i obiektywnie, a zarazem głęboko. Przez rozszerzenie swych wiadomości, przez skompletowanie zasobu naszej wiedzy, rozszerzamy horyzont naszych zainteresowań, i zwiększamy stopień naszej użyteczności. Mówiąc o tym rodzaju pracy, miałam na myśli pewne grupy młodzieży, połączonej z sobą zrozumieniem potrzeby samokształcenia, oraz wolą konieczną do zrealizowania tej pracy. Myślę tu poprostu o zebraniach, na których można omawiać pewne zagadnienia wspólne, rzecz prosta po uprzednim ich przygotowaniu na podstawie odpowiedniej lektury. Tak samo pewna określonego rodzaju praca samokształceniowa może być prowadzona w kółkach filologicznych, literackich, na obozach itp. Zastrzeżenie jest jedno, musi to być praca podjęta dobrowolnie, zrozumiana i prowadzona z zapałem. O korzyściach chyba nie trzeba nikogo przekonywać. Doskonale rozumiemy, że dzięki tej pracy stajemy się coraz bardziej oczytani, inteligentni, że wyrabiamy sobie swój przez nikogo nie narzucony światopogląd, że stabilizujemy swe przekonania. Możemy poznać pewne zagadnienia takimi jakimi są w istocie.

Mając na względzie to wszystko, pomyślmy nad tym, czy wolno nam przechodzić mimo wielkiej wagi zagadnień, mimo problemów, których rozwiązanie od nas zależy, — czy wolno nam przejść z zamkniętymi oczyma na zło i nędzę. Moim zdaniem, naszym obowiązkiem jest przygotowywać się do tej pracy, jaka nas czeka na świeżo zaoranej niwie niepodległej ojczyzny. W lwiej części przygotuje nas do niej praca samokształceniowa.

Niczym dla nas troski codzienne i przeszkody, niczym zawody ciągłe i rozczarowania, — siłę do pracy znaleźć musimy w sobie; a więc bez względu na konieczność podjęcia wysiłku, z całą energią młodości i rzetelnym nakładem sił, podejmujmy pracę samokształceniową. A „kto ma wolę ten wszystko pokona" — powiedział Słowacki.

Irena Szostakówna

Warszawa, Kl. IV, gimn. M. Konopnickiej.

ZGON OJCA ŚWIĘTEGO

W trakcie łamania numeru dowiadujemy się, że w dniu 10 lutego b.r. o godz. 6 z rana zmarł opatrzony sakramentami Świętymi, które przyjął z rąk ks. Kardynała Lauzi, Ojciec Święty Pius XI. Wielki Przyjaciel Polski do końca Swego żywota czynnie interesował się sprawami naszej Ojczyzny, zyskując sobie obok szczerej sympatii i uznania tytuł „polskiego" Popieża. Śp. Pius XI wstąpił na tron Piotrowy 6 lutego 1922.

Ojciec św. Pius XI — Achilles Ratti — urodził się 31 maja 1857 r. w małym miasteczku Desso, w okolicach Mediolanu, w rodzinie dyrektora fabryki jedwabiu. Kształcił się w Seminarium św. Piotra Męczennika i w Kolegium św. Karola w Mediolanie, następnie studiował dwa lata w Wyższym Seminarium.

W tym okresie życia przyszłego Papieża dużą rolę odegrał pobyt w czasie wakacyj u stryja ks. Don Rodolpho proboszcza w miejscowości Asso. Z okien swych Achilles Ratti mógł widzieć jezioro Como i Alpy, które tak później pokochał. Tutaj również spotkał się z Arcybiskupem Mediolonu mgr. Nazario di Calaviana, który był częstym gościem w probostwie. Uwagę Arcybiskupa zwróciła dojrzałość umysłu i wielka inteligencja Ratti'ego. Dzięki poparciu Arcybiskupa Achilles Ratti kontynuuje studia w Kolegium św. Marcina, a następnie w Rzymie, gdzie słuchał wykładów w Uniwersytecie Gregoriańskim.

Następnie, zgodnie z życzeniem Papieża Leona XIII zostaje przeniesiony do wielkiego Seminarium, gdzie w ciągu 5 lat zajmował stanowisko profesora dogmatyki. W roku 1888 został członkiem Kolegium Doktorów Biblioteki Ambrozjańskiej.

W roku 1907 został następcą ks. Cerriani'ego, jako prefekt biblioteki. Wkrótce potem obejmuje stanowisko prałata przy Papieżu Piusie X.

Ks. Ratti był zapalonym alpinistą. Wakacje swe poświęcał długotrwałym i trudnym wycieczkom w Alpach. W r. 1889 odkrył nową drogę na wschodnim zboczu Monte Rosa.

Papież Benedykt XV, oceniając wielkie zdolności dyplomatyczne ks. Rattiego wysłał Go 29 maja 1918 r. w misji dyplomatycznej do Polski, jako wizytatora apostolskiego. W roku 1919 Ratti został Nuncjuszem Apostolskim w Polsce i tytularnym Arcybiskupem Lepantu.

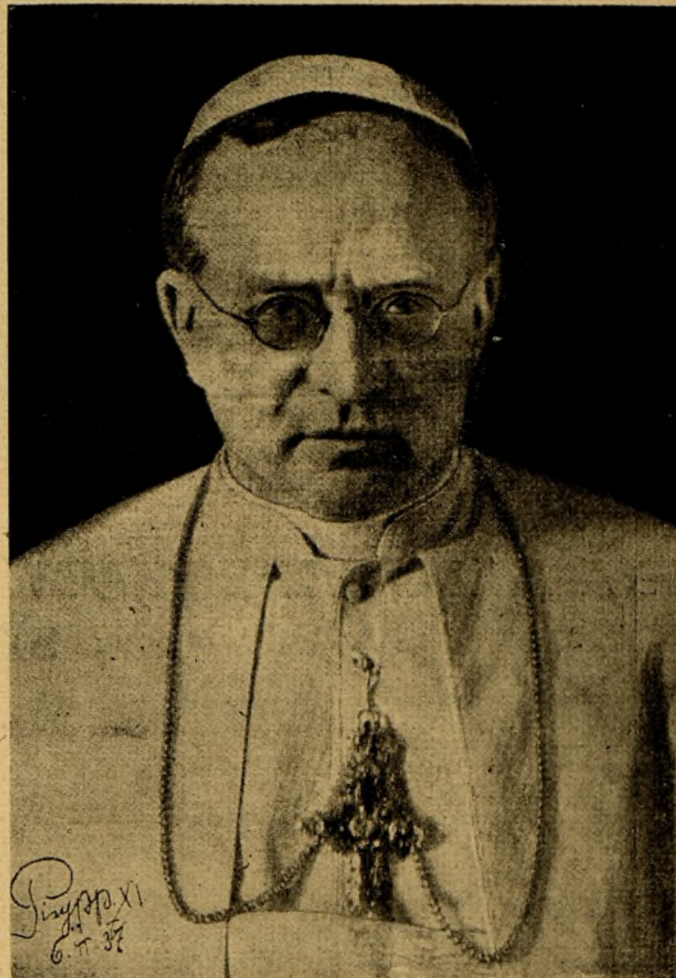
Na pierwsze lata nuncjatury ks. Arcibiskupa Rattiego w Polsce przypadły zbrojne zmagania się odrodzonego Państwa Polskiego z najazdem bolszewickim. Nuncjusz Papieski pozostawał w tym okresie w najbliższym kontakcie z Naczelnikiem Państwa, Naczelnym Wodzem Marszałkiem Piłsudskim, żywo odczuwając troski i potrzeby kraju walczącego o swą niepodległość i granicę.

W ciężkim okresie bojów pod Warszawą Arcybiskup Ratti dał przykład całemu korpusowi dyplomatycznemu, oświadczając, iż nie opuści stolicy państwa, w którym jest akredytowany.

Stanowisko Nuncjusza Rattiego w tym okresie, zarówno jak i jego postawa w czasie, gdy był wizytatorem apostolskim w Polsce podczas okupacji niemieckiej, pozostały we wdzięcznej pamięci narodu polskiego.

19 kwietnia 1921 r. ks. Achilles Ratti otrzymuje godność Arcybiskupa Mediolanu. 4 czerwca tegoż roku opuszcza Warszawę, a w 12 dni później zostaje mianowany kardynałem.

W dniu 6 lutego 1922 r. kard. Ratti został wybrany przez Konklawe Papieżem, jako następca Benedykta XV, przyjmując imię Piusa XI.





Dziełem historycznym, dokonanym przez Papieża Piusa XI było zakończenie sporu Watykanu z Kwirynałem, znanego pod nazwą „kwestii rzymskiej". Rozpoczęte w parę lat po objęciu tronu papieskiego przez Piusa XI układy z szefem rządu włoskiego Mussolinim, doprowadziły do zawarcia 11 lutego 1929 r. układu znanego pod nazwą „Układów laterańskich", których ratyfikacja nastąpiła 7.VI. 1929 r.

Układy te położyły kres stanowi rzeczy, powstałemu w r. 1870, kiedy wojska państwa włoskiego wkroczyły na terytorium państwo kościelnego, włączając Rzym do zjednoczonego królestwa Włoch.

W umowie z dn. 11 lutego 1929 r. Włochy uznały państwo watykańskie pod suwerennością Papieża, przywracając w ten sposób historyczne Państwo Kościelne.

W dniu 50-letniego jublileuszu kapłańskiego Pius XI po raz pierwszy przekroczył granicę pałacu w Watykanie. Wkrótce potem nastąpiła wizyta włoskiej pary królewskiej u Papieża Piusa XI.

Za czasów pontyfikatu Piusa XI zawarte zostały konkordaty z Polską, Francją, Jugosławią, Łotwą, Litwą, Niemcami, Austrią i inne.

Za dewizę swego pontyfikatu Papież Pius XI uważał: „Pax Christi in regno Christi".

DZIAŁ literacki

KOLEBOK STANISŁAW
(Wilno)

KU NOWEJ POLSCE

W państwach totalnych, zarówno typu niemiecko - włoskiego, jak i rosyjskiego,—literatura stanęła na wyłącznych niemal usługach państwa. Literatura w najszerszym tego słowa znaczeniu stała się nie tylko propagatorką ustroju państwowego; w zakres jej władania wdarło się również życie gospodarcze i wszelkiego rodzaju zagadnienia ekonomiczne. Pisarze — na rozkaz swych Führer'ów — zstępowali do fabryk, kopalń i salin — opiewali życie maszyn, pracę robotnika, — wznosili wysoko ponad rzeczywistość rozwój rodzimego przemysłu. Tak pojęta propaganda oddawała zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz państwa cenne usługi.

Inaczej było u nas. W spadku po długiej niewoli otrzymaliśmy ruiny życia gospodarczego, strzępy ekonomii narodowej i życia społecznego. Z niemym zachwytem zwracaliśmy, po odzyskaniu niepodległości, oczy po nowe wzory, nową technikę życia gospodarczego i ekonomicznego państw obcych. W samych superlatywach ocenialiśmy dorobek innych, — jak w bajce śniąc o autostradach, rozmachu budownictwa, powstawaniu fabryk, — organizowaniu nowych kadr pracy... Mimo kolosalnych wysiłków i prac nad odbudową państwa, zasugerowani ciągle nędzą powojenną, nie chcieliśmy zwrócić oczu wewnątrz, do siebie.

Dopiero powoli, m. in. dzięki nowej formie literackiej reportażom, biorącym początek na wschodzie, poczęły topnieć pierwsze lody. Zaglądnęliśmy do własnego domu i spostrzegli wiele powodów do dumy. „Cop" Melchiora Wankowicza spełniał tu rolę dominującą.

Obecnie, w chwili, kiedy w bilansie gospodarki państwowej notujemy takie pozycje, jak Gdynia, Mościce, Cop, Porąbka, Rożnów, Zaolzie, układ polsko - litewski — i tysiące inwestycji, — na rynku księgarskim ukazuje się książka autora „Copu", Melchiora Wańkowicza, p.t. „Sztafeta"[1]), obrazująca dorobek dwudziestolecia Polski odrodzonej.

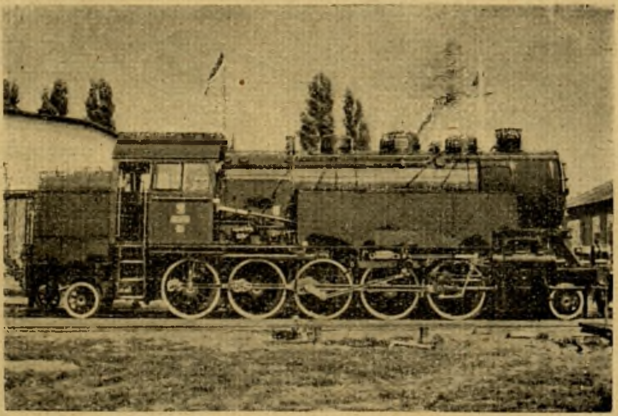
Sztafeta, to pozycja nad którą młodemu pokoleniu nowej Polski, zaczynającej drugie dwudziestolecie, nie wolno przejść obojętnie. Wszakże „Sztafeta", to „...książka, w której odbiła się—jak powiada sam autor w Przedmowie — chwila, jaką przeżywamy — dwudziestolecie bytu niepodległego — na tle przeszłości i planów przyszłości", to książka, w której szczery entuzjasta, chce „pokazać Polsce jej właściwe oblicze, pokazać jak w niej ludzie pracują..." Bojaźliwym, którzy wstydzą się porównań z rozwojem gospodarczym i ekonomicznym ościennych państw, daje autor w ręce broń potężną: dumę z osiągnięć pierwszego dwudziestolecia Polski odrodzonej.

Istotnie, „Sztafeta" jest dla wszystkich bez wyjątku obywateli. Jeśli jest jakieś „ale", to chyba cichy, choć nieukrywany sentyment autora dla młodego pokolenia. Ta niejako wyłączność uczucia autora, czyni „Sztafetę" naprawdę bliską młodzieży. Do niej bowiem, do tego „drogiego przyjaciela, buńczucznego młodego Polaka, który nie znał wojny!" — zwraca się Wańkowicz z

[1]) **Melchior Wańkowicz:** Sztafeta. Wydawnictwo „Biblioteka Polska". Warszawa 1939.



Na stacji w Częstochowie w 1867 r.

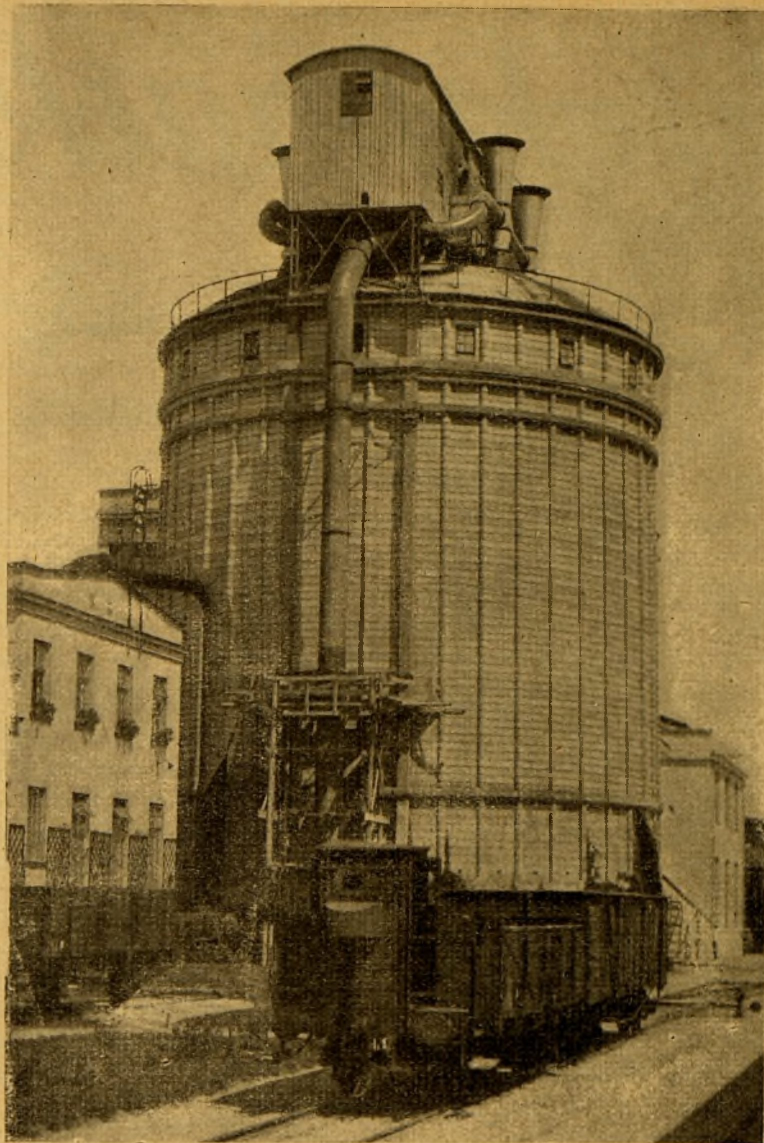


Parowóz 1938 r.

opisem Polski z lat osiemnastych, kiedy to Min. Spr. Zagr. rozporządzało jednym vehikułem, — Min Spr. Wewn. zajmowało aż 3 małe i 1 duży pokój z pięcioma urzędnikami, przyjmowało jednego interesanta dziennie, kiedy ministrowie własnoręcznie rozklejali afisze na murach, — i podpisywali protokóły na zbite szyby, —kiedy... Nie mnóżmy przykładów z zarodków naszego bytu państwowego, ale tylko z szkicowych porównań wyciągnijmy wnioski: jak daleko odeszliśmy od roku 18!

Ponieważ młode pokolenie zna tylko wolną Polskę, — autor stawił przed jego oczy krótki obraz przeszłości, czasy, kiedy „otrzymaliśmy ojczyznę" tylko „z tradycji, z języka i z miłości serc naszych... gospodarczo był to zlepek kresów trzech państw zaborczych, zbudowany półśrodkowo rozbieżnie, a na domiar zniszczony ponad wszelki wyraz".

Po takim uświadomieniu czytelnikowi stanu przeszłości, i po stwierdzeniu, że „zaprawdę po trupach, szliśmy do odbudowy" — rozpoczynamy z autorem wędrówkę po Polsce, po Ojczyźnie, która po 20 latach niepodległości niebardzo przeniknęła do naszego życia prywatnego, która stała się ukochanym, oddalonym mitem. Tu — poznajemy je nie przez słowa i pieśni, a przez te dotykalne maszyny i zakłady COP., — rozbudowane lotnictwo, port Gdyński, tamę w Rożnowie, Zaolzie... i tyle jeszcze innych.



Wieża granulacyjna

I tu leży wielkość i pionierskość autora — literata raczej, niż ekonomisty i technika. Bez osłon, z niestłumionym zapałem dał obraz życia i twórczości polskiej w 20 latach niepodległości. To, co dotychczas w możliwych, choć wysokich, zostało zamknięte cyfrach wykazów i sprawozdań i było udziałem nielicznych — nagle nabrało życia. Mimo tylu cyfr, mimo tylu technicznych zwrotów, nawet problemów, książkę czytamy jednym tchem.

W czym zagadka? — zapytacie!

Oto w tym właśnie, że pisał ją artysta i człowiek wiedzy. Obok całej powagi tamtych problemów, niby niewidoczna nić przewijają się momenty narratorskie, gawędziarskie. Ekspresja słowa, wysoce sugestywna i artystyczna forma, bezpośredniość w reakcjach uczuciowych, jędrność, potoczystość stylu — nie pozbawiają „Sztafety" wysokich wartości literackich.

„Sztafeta" winna i musi w swej pięknej szacie graficznej trafić wszędzie. Tam bowiem tkwi potencjał sił państwowych, tam poznajemy największego z bohaterów: człowieka..., naród.

I kiedy przyszłość ciągle woła o czyn, kiedy w szybkim tempie życia brak orientacji i równowagi spycha na dno pojedyńczych ludzi i narody całe--Wańkowicz woła o moc i siłę człowieka przede wszystkim, o jego udział w życiu publicznym, uczciwość w pracy dnia, moc charakteru. Człowiek zbudował dzieło minionego dwudziestolecia, człowiek i tylko on będzie odpowiedzialny za stan osiągnięć następnego.

I jeszcze jedno: połączenie życia państwa, jego spraw społecznych, gospodarczych z literaturą da w wyniku wiarę we własne siły, natchnie szczerym entuzjazmem całe młode pokolenie, przywróci człowiekowi poczucia przynależności społecznej.

Początki na nowej drodze zrobione...

PRZENOŚNIA
JAKO OZDOBA JĘZYKA LITERACKIEGO

Trudno jest sobie wyobrazić poezję bez przenośni, czyli metafory, będącej jednym z głównych czynników decydujących o wartości danego utworu. W dobie współczesnej zaobserwować można, zwłaszcza u poetów awangardowych i ekspresjonistów, zanik rymu i rytmu na korzyść właśnie metafory. W czasach starożytnych znana już była przenośnia — jako ozdoba stylistyczna, jako jeden ze składników języka poetyckiego. Ówcześni pisarze rozumieli dobrze rolę metafory, służącej bądź do uplastycznienia czytelnikowi jakiegoś wrażenia, albo bądź do silniejszego zawiązania stosunku uczuciowego między czytelnikiem, a danym zjawiskiem. Rozwój metafory, po epoce hellenistycznej, nastąpił dopiero w czasach baroku, modernizmu, by osiągnąć punkt szczytowy w czasach obecnych. Literatura klasyczna, stawiająca sobie za cel upraszczanie wszelkich zjawisk, nie używała często przenośni, uważając ją za mocno skomplikowany środek artystyczny. Poezja liryczna też omijała metaforę, zastępując ją chętnie porównaniem, lub anaforą. O wiele więcej spotkać jej można w poezji romantycznej, choć rozkwit przenośni w tym okresie krępował kierunek romantyzmu, starający się naśladować poezję ludową. Odczuwając brak metafory zastępowano ją najczęściej porównaniem:

„Litwo, ojczyzno moja! Ty jesteś j a k zdrowie:" albo

„A wszystko przepasane, j a k b y wstęgą..."

Jeszcze chętniej posługiwał się porównaniem Słowacki:

„Jak księżyc — słońca wyrzekłeś się mocy?
Jam ci powiedział, że j a k Bóg Litewski
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska:
A w ręku twem krzyż j a k miesiąc niebieski,
A w ustach słowo co j a k piorun błyska."

W powyżej przytoczonym urywku w 5 wierszach zostały umieszczone 4 porównania. Weźmy ostatnie i zobaczmy jakby ono wyglądało zastąpione przenośnią? Współczesny poeta omijając okólne drogi wyrażenia plastycznie myśli za pomocą — jak, napisałby poprostu:

„A w ustach słowo piorunowe".

Rezultat ten sam, bowiem i przy użyciu porównania jak i przenośni czytelnik uzmysławia sobie siłę, dynamikę tego słowa, o które Słowackiemu chodziło.

W dobie współczesnej, a zwłaszcza w ostatnim dziesięcioleciu znaleziono w metaforze niewyczerpane bogactwa językowe i poczęto posługiwać się nią na większą skalę, sięgając do samej głębi jej istoty, polegającej w większości wypadków na tłumaczeniu pewnej rzeczywistości słowami, zaczerpniętymi z rzeczywistości, która może dotrzeć do naszej świadomości za pomocą innych zmysłów.

Tak więc kolory określamy słowami nie mającymi nic wspólnego z barwą. Za przykład najpospolitszych metafor mogą służyć określenia takie, jak: „mdły kolor", „ostry dźwięk" itp. Bardziej skomplikowaną formą przenośni, będzie już połączenie jej z porównaniem, tak jak u Jalu Kurka, w wierszu: pt. „Ballada hiszpańska":

„Księżyc się tlił jak niedogaszony papieros..."

Często też spotyka się metafory, których cała oryginalność, nie zawsze bardzo artystyczna, polega na doborze umiejętnych upodobnień, jednak bez głównych cech porównania, bez: jak i jakby.

„Na Plazza Jezus słońce urządza rzeź...
O słońce, parzysz ty okrutnie:"

W rękach, a właściwie w głowach współczesnych poetów i pisarzy, szukających ciągle oryginalnych wyrażeń, metafora nabrała niebywałego znaczenia, zajmując wśród szeregu innych środków poetyckich, naczelne miejsce. Doprowadza to nieraz do skomplikowanych zestawień i dziwadeł. Powoduje to oczywiście chaos składniowy i czytelnik, pośród pozornie nielogicznej treści, gubi się i nie może wyśledzić biegu myśli autora. W większości wypadków, metafora spełnia swoje zadanie, uplastyczniając czytelnikowi obraz.

„z wiatrem w oczach gnał Murat ulicą.
Słońce w epoletach s t r z ę p i a s t e i k r ó t k i e..."

Czytelnik uzmysławia sobie wyraźnie, błysk słoneczny, w złotych epoletach i pęd konia Murata. Ten sam autor (Pietrkiewicz) na początku tego samego wiersza pisze:

„W pałacu Inwalidów mrok wsparł się o ściany,
do okien przyszedł Paryż pochodem neonów,
g r a ł y n a c z u b a c h k l o n ó w z i e l o n e o r g a n y..."

W tym ostatnim wierszu trzeba się chwilę zastanowić, by odpowiednio interpretować tę przenośnię.

Zdaje mi się, że poeta chciał powiedzieć, iż w liściach zielonych drzew grał, szumiał wiatr, przedstawiony tu jako organy. Kiedy autor mówi, że:

„Znów mrok zmyje kształty"

daje odczuć, prawie zobaczyć stopniowe zanikanie kształtów w mroku.

Przykładów na złe i dobre metafory w poezji, przytoczyć można tysiące, można, śladem Światopełka Karpińskiego, uzmysłowić sobie trzeszczenie gałęzi, jako „czesanie ciszy skrzypliwie", lub zadumę przedwieczorną jako „miękkie głaskanie dnia, giętkim odmarsze palców", można się zachwycać pięknem przenośni, lub zastanowić nad jej sensem ukrytym gdzieś niechybnie, ale przyznać trzeba, że metafora wyrosła z porównania, otworzyła zarówno przed poetą jak i czytelnikiem nowe horyzonty, nowe możliwości artystyczne. Ona właściwie jest teraz głównym czynnikiem poezji, zastępując często z powodzeniem brak rymu, a nawet czasem jednolitego rytmu.

W prozie nie zajęła przenośnia jeszcze dominującego stanowiska, jak w poezji. Często ustępuje tu ona miejsca porównaniu, które powoli przekształca się jednak w metaforę.

„Woda schwyciła suchy promień latarki, roztarła na śliskich kamieniach i już o parę kroków niżej zalała ciemnością. Słychać tylko sączenie się strumyków i lekki dech powietrza. Raczej plusk!"

Przytoczony powyżej urywek z powieści Kaden — Bandrowskiego, świadczy dobitnie, że i w prozie zaczyna przenośnia zajmować ważną pozycję.

Wiesław Wijato.
Lic. im. Mickiewicza



Słowianie są śpiewnie rozlewni. Dlatego zapewne tyle ludzi u nas chwyta za lirę i podskakuje, aby z laurowego drzewa listek uszczęknąć. W żadnym chyba innym kraju nie ma tak głęboko wkorzenionego kultu dla poetów i ich tajemniczej sprawy. Słowo poeta wymawiają nasze domy (nie tylko stare ciocie) ze czcią. Wynika to z niespłaconej po dziś dzień i wieki następne wdzięczności dla tych Trzech, którzy talent swój w rydwan narodowej wprzągnęli sprawy. Młodopolszczyzna dodała jeszcze trochę akcesoriów: zjawił się typ długowłosego barda w pelerynie, posadzony przez Kornela na poddaszu i wpatrzony w filujące gwiazdy.

Maestro musiał — rzecz prosta — odurzać się w oparach alkoholu (taki Przybyszewski, moja pani, i Kasprowicz, co tonie wypili) i jako smutny pielgrzym bez dachu nad dymiącą głową, łatane klonowymi liśćmi spodnie wyświecać na kawiarnianym zydlu. Tropiciele niebytów, turyści Nirwan, tęskni lokatorzy ustąpili miejsca sportowo ubranym turystom oraz skamandrytom często w bluzy robocze przebranym, no i dzisiejszym poetom, ogolonym, uczesanym, ubranym normalnie. Tu i ówdzie przystraja się jeden z drugim mieszczuch z dziada pradziada w chłopską sukmanę, jako się ongi we „Weselu" przebierali, ale dziś krytycyzmu na Parnasie narosło, na nic się wszelkie zdają maskarady. Zmieniły się tedy czasy, ale pewne sugestie i pewne opinie grasują wśród P.T. Klienteli i długo jeszcze grasować będą. Pewna Pani, matka czworga dzieci, wskazującym palcem dotknęła swoje pacholę i rzekła: — „Kaziu będzie wielkim poetą, on już teraz pisze wiersze. 17-letni Kaziu spłonął jako ta lewkonia, a goście w saloniku z zadowolonym zainteresowaniem głaskali oczyma oblicze Tego, który kiedyś... Pozostałe pacholętą uczuły — widziałem — niechęć do brata i żal do siebie, że tylko kopię piłkę, zbierają znaczki i budują modele samolotów..."

Aldois Huxley w „Drwiącym Piłacie" zastanawia się: cóż to jest, u licha, że dziennikarz czy literat stokroć milej jest witany od zasłużonego inżyniera czy chemika? Przymus nauczania, stał się widać nietylko rozsadnikiem jakiej takiej wiedzy, ale także i pewnych przeceniań społecznych. To ułatwia bytowanie, nieraz pasożytowanie dużej grupie socjalnej.

Ofenzywa najmłodszych kandydatów na poetów nie jest jednak zjawiskiem niebezpiecznym. Życie jest najlepszym sitkiem: kombinatorstwem w poezji nikt jeszcze na cokół się nie wdrapał. Jedna istnieje pociecha, że każdy zawiedziony pontifex maximus może być kiedyś dobrze wyszkolonym czytelnikiem poezji prawdziwej. Wzmożoną chęć tworzenia traktujmy więc jako normalną ospę, taką samą jak okres Karola May'a, okres filatelistycznego maniactwa (jak mówi pewien amerykański profesor uniwersytetu) czy — jak się to u panienek zdarza — zbieranie fotosów Clark Gable'a, a na pewno nikomu nigdy nie będzie przykro i nikt się nigdy nie rozczaruje.

Leży na biurku przeszło 100 poetyckich płodów, plon jednego zaledwie miesiąca. Większa ich część cierpi na gadulstwo. (To obecne gadulstwo w Polsce i prawdziwy renesans frazeologii można by tłumaczyć chyba tak: naród, który przez tyle lat miał obcą rękę na ustach, na gwałt chce się teraz w wolnym państwie wygadać...) Pleonastyczne twory są bardzo uciążliwe w lekturze i niepotrzebnie zabierają czas czytelnikowi. Młody autor, maczając pióro w kałamarzu, winien pamiętać o tym (głupawym zresztą), ale tu bardzo trafnym szmoncesowym odezwaniu się: „k o g o?" Najpłomienniejszy erotyk z białej zrodzony gorączki, który olśnił autora przy pisaniu — ogół czytelników może nudzić. Każdej chwili może ktoś zapytać: Kogo? Kogo to obchodzi?... Kogo to obchodzi, że ty znasz jakąś Zofijkę i że ona ma niebieskie oczy, i że tymi oczyma wywraca nie tylko w twoją stronę? Wogóle erotyki trzeba pisać b. ostrożnie i pseudonimować wstydliwie swoje uczucia, bo na ten typ twórczości ludzie są szczególnie „łasi" i radzi by najżarliwszy wiersz ośmieszyć do suchej nitki. Tyczy to zwłaszcza nerwowego kol. K., autora „Już nigdy...", który tak się wygraża:

Mam w oku gożką (!) łzę,
a Ty się śmiejesz: „he, he, he!".
Kochana moja byłaś,
lecz dziś gdyś mi uczyniła
żal, to wiedz: okrucieństwo
pomści moje męstwo... i.t.d...

Nie chodzi tu o zabawienie czytelników, ale zwrócenie uwagi, że najszlachetniejszy zamiar („pomści moje męstwo") wymaga dużej dyskrecji i zamiarowi temu niepotrzebnie towarzyszy pisanie wierszy. Niech się Szanowny Autor nie źli na mnie, że wydrukowałem jego wierszyk, ale w tym celu przecież go przysłał... Erotykopisom nie zaszkodzi, jak sobie na początek przeczytają „Pamiętnik miłości" Wierzyńskiego.

Kol. R. F. N. — znać talent, który trzeba pogłębiać pracowitością. Czytać, czytać i jeszcze raz czytać (kiedyś ktoś napisał w liście, że on właśnie na złość nie będzie czytał, „bo by sobie styl własny zniekształcił(!)"...) Piosnki rzewne i szczere, ale prymitywne. Należy unikać rymów gramatycznych (rżyska — urwiska, kraty — kwiaty, gorejąca — śpiewająca). To samo się odnosi do 93-ech innych z Państwa.

(n.)

WITOLD DEGLER

W Y Z N A N I E

Kiedyż nauczę się ciebie, prawdo odwieczna i prosta?
Ja pielgrzym zbłąkany, stopy krwawiący na ostach

Zbieracz snów i przywidzeń, uczuć antykwariusz,
czasu poszukiwacz, który dawno zmarł już.

Dróg niewyśledzonych, aniołów tropiciel —
co krok, jak o kamień, potykam się o życie.

Jakże trudno bez zasad i bez drogowskazu
iść, iść — nie wiadomo, z czyjego rozkazu!

Jak ślepiec ręce przed siebie wyciągam
przeczuciem płynę i życiu urągam!

Brzegami cieni, gdzie w dole przepaść zionie wiekuista,
skrajem życia i śmierci idę—ryzykant i ekwilibrysta.

RYGUŁA J. FRANEK (Katowice)

KATOWICE — MIASTO W CIENIU KOMINÓW

Istnieją miasta, które lubimy odwiedzać, gdyż podobają nam się z tych lub innych względów.

— Że tam jest więcej zieleni, więc mi się podoba — powie jeden, — Ja znów w murach miasta historii szukam — zaintenuje inny. Są więc miasta, które LUBIMY, lecz są też miasta, które KOCHAMY. Nie musi być ono piękne, ani historią owiane, a jednak jesteśmy do niego przywiązani. Znajdziemy w nim coś, co nam jest drogie, choć by tym była obdrapana kamienica, albo wąska zabłocona uliczka.

Moją ziemią jest Śląsk, Czarny Śląsk—miastem, w którym koncentrują się wszelkie moje uczucia — Katowice.

Katowice, zachmurzone, zadymione, spoczywające w cieniu osmalonych kominów — Katowice, które całym sercem kocham. Miasto to ani historią poszczycić się nie może, ani w zabytki obfite nie jest. A jednak je kocham, kocham kominy i szyby, co wznoszą się ponad wieże i dachy, kocham ulice od najruchliwszych i najbłyskotliwszych do najciemniejszych i najuboższych, kocham ludzi, którzy snują się po chodnikach, ludzi pracy, ludzi walki...

Jeden z autorów doby obecnej, bardzo nawet znany i poczytny opisując Katowice, niepochlebnie wyraził się o ludziach tutejszych. Kobieciny z koszykami pod ręką nie podobały się literatowi. Może w innych miastach tego nie widział, więc tu mu to natychmiast w oczy wpadło. Lecz każdy z nas, Ślązaków z krwi i kości potwierdzi, że nas oczy nie bolą, gdy widzimy tą śląską babulinę; bo to przecież nasza matka. Nas nie wychował przepych, ale praca nas hołubiła, całował zgrzyt i ryk syren kopalnianych, twarda, pomarszczona dłoń kierowała nas na ludzi takich, jak nasi ojcowie, wskazując właściwą drogę. A nasi ojcowie to górnicy i hutnicy. Ludzie hardzi, głusi na ckliwość, lecz posiadający serca, złote serca. Nasi ojcowie, to ludzie Morcinka. Niezdolni są do łatwych wzruszeń, nie ulegają łzom. Może dlatego, że w kamieniu wciąż kują, że całe ich życie, to walka z kamieniem. Nie należy jednak sądzić, że zasklepieni są w tym kamieniu, że naprawdę głusi na wszystko. Że nie mają poezji...

Nie, tak nie jest.

Ślązak także zna i wyczuwa poezję. Potrzebuje poezji! Lecz zauważyć należy, że jemu nie o gwiazdach i o kwiatkach śpiewać trzeba. On potrzebuje poezji takiej, jak jego życie, tętniącej odgłosem jego pracy — stukiem kilofa, burzącej się od ryku i huku, wrzącej spazmatycznym tkaniem żelaznego potwora — maszyny. Wtedy Ślązak się uśmiechnie.

Ślązak może się w każdym razie wydać komuś gburowatym. Lecz to mu trzeba wybaczyć. On już jest taki, jak jego otoczenie.

Żyjemy tętnem podziemi. Bez rytmu żelaza nieswojo byśmy się czuli.

Czasem wybije się ktoś spośród nas ponad tę fabryczną uliczkę, ponad jej zaduch i ciasnotę, uleci w błękit, zakołysze się w powodzi słonecznego blasku. Lecz zatęskni na Śląskiem takim, jakim on jest, za Katowicami — wróci.

Jest wśród nas i zło. Lecz na nie wszędzie się napotyka, byśmy walczyć z nim mieli.

Katowice, — równe, szare domy, ulice prosto biegnące, w powietrzu dym czarny słońce nam przesłania, huk, ryk, zgrzyt, łomot, blask, ogień, ruch. Rytm pracy — to Katowice — które kochamy.

FRANEK J. RYGUŁA
II. B. Gimn. Mech. Katowice

GABRIEL JÓZEF CIEŚLIŃSKI.

DRAMAT WIECZORU

Czuję, choć znicz nie rozżagwi uczuć,
Jak magnolie uświęcają zapach — —
Na raut, pójdź, sprzęgnąć macierzankę wiosła —
Stawem wsłuchania —
Pozwól rozszczepić myśl czystszą niż fala.
Splotem baśni
Spłyniemy na taras życia posuwistym passem!

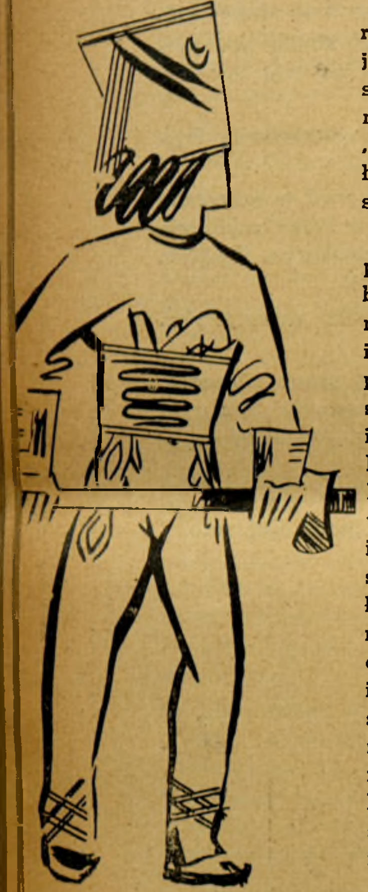
Nie doznać — więc płakać cudzą dolę —
By kompleks ramion skargami zespolić?
Klomb astrów zastygł w wybuchu
Pryskając różą w świat niezrodzonych narcyzów —
Co najmodniejszym walcem
Zwróciły twarze w fazę obcego słońca. — — .

Maki kraśniały każdym zaproszeniem
Gdy ręce zginęły w objęciu
(*Improwizacjo odczucia!*)
Głębiny odśpiewały innym rytmem —
By cały motyw na oczach zawiesić —
(*Coś go rzeźbiła błękitnym pantoflem*).



PODHALE i TATRY w SZTUCE







Jeden z wnikliwych badaczy krajobrazu i kultury regionalnej polskiej, Francuz, prof. Pierre Francastel zatytułował swe dzieło o Polsce „La Pologne pitoresque". Jest to określenie nad wyraz trafne i udane. Polska jest rzeczywiście krajem malowniczym, a na tę jej malowniczość składa się już nie tylko różnorodność krajobrazu, lecz w dużym stopniu przyczynia się do niej wielość odmian regionalnych, odrębność obyczajów, wierzeń i cech regionalnych, które stanowią istotną cechę malowniczości Polski. Prawda — w Niemczech, Francji, czy Italii są również wybitne cechy różnorodności regionalnej, lecz nie występują one nigdzie z taką siłą wyrazu, jak właśnie u nas.

Jedną z tych krain, gdzie odmienność regionalna występuje szczególnie silnie, jest Podhale. Południową granicę naszego kraju stanowi granitowy mur niebotycznych Tatr, a cała dzielnica, „przylepiona" niejako do tej wspaniałej krainy mgieł, wichrów i potoków, nosi nazwę Skalnego Podhala.

W ziemi tej złączyły się różnorodne pierwiastki: Majestat górskiego krajobrazu łączy się tu ściśle z charakterem mieszkańców, z ich sztuką, poezją i pięknem. Dlatego też Tatry i Podhale przyciągają z całej Polski nie tylko turystów, spragnionych emocji trudnych i niebezpiecznych wycieczek, nie tylko ludzi, szukających ulgi w chorobach, którą im niesie uzdrawiająca właściwość powietrza górskiego. Z Tatrami i Podhalem złączyła się poezja, malarstwo i muzyka; tu, gdzie ostrymi kopułami granitowych olbrzymów strzelają w niebo szczyty Tatr, gdzie wiekuista cisza odrywa myśl ludzką od codzienności i szarzyzny życia, gdzie poza szumem siklawy i świstem wichru nie słychać nigdy żadnego odgłosu — powstała różnorodna, bogata i wspaniała sztuka Podhala, reprezentowana przez największych przedstawicieli naszej literatury, malarstwa i muzyki.

Jest rzeczą znamienną, że wielu z pośród tych, którzy ponad wszystko umiłowali Tatry i Podhale, przybyło tutaj z najodleglejszych zakątków kraju.

Kasprowicz był Wielkopolaninem, Witkiewicz i Karłowicz — przybyli z Litwy, Szymanowski z Podola; wszystkich jednakowo ciągnęła zaklęta siła, drzemiąca w nieurodzajnej, kamienistej ziemi podhalańskiej.

Do Tatr ciągnęli nie tylko Polacy. Od połowy XVII wieku w te dzikie, nietknięte ludzką stopą ostępy leśne, bezdroża skalne, urwiska górskie ciągnęli z różnych stron Europy badacze, podróżnicy, awanturnicy, poszukiwacze złota i przygód. Sztuka, związana z Tatrami i Podhalem rozkwitła jednak w całej pełni dopiero w wieku XIX-tym, kiedy kraina ta stała się bardziej dostępna ludziom z szerokiego świata.

Zbyt trudno jest w szczupłych ramach artykułu omówić szczegółowo twórczość wszystkich pisarzy, poetów, malarzy, i muzyków. Zbyt trudno jest nawet ich wszystkich wymienić; jeśli chodzi o dziedzinę słowa pisanego, to reprezentuje ją kilka grup literackich. Wspomniawszy tylko o pierwszych, którzy o Tatrach pisali, tj. o Chróścińskim, autorze „Podróży do Tatr", z w. XVI, dalej o Staszycu, który w swym dziele „O ziemiorództwie Karpatów" zawarł wiele cennych uwag z dziedziny geologii i mineralogii, przejdźmy do okresu romantycznego, reprezentowanego tutaj przez kilku sławnych poetów, w pierwszym rzędzie przez Goszczyńskiego, Zaleskiego i Pola. Ci trzej wybitni romantycy zawarli w szeregu dzieł wspomnienia z wędrówek po Podhalu i Tatrach, wspomnienia typowo opisowe, zabarwione tu i ówdzie łezką prawdziwie romantycznego nastroju. Trudno odmówić Wincentemu Polowi wartości jednego z pierwszych propagatorów turystyki i krajoznawstwa; trudno odmówić walter - scottowskiego nastroju „Dziennikowi podróży do Tatr" Goszczyńskiego — ale epoka romantyczna nie wniosła (poza małymi wyjątkami) trwałych wartości do literatury tatrzańskiej.



Karol Szymanowski

Zupełnie inny stosunek do Tatr ujawnia się w dziełach Adama Asnyka, który w cyklu swych sonetów („Nad Głębiami") i szeregu drobniejszych utworów osnutych na tle pobytu w Tatrach dał wyraz głęboko filozoficznemu nastrojowi, jaki go opanował podczas obcowania z przyrodą górską. Filozofia Asnyka posiada cechy panteistyczne. Asnyk w Tatrach snuł dociekania na temat zagadek pra-bytu i wszechbytu.

Jeszcze inny kierunek reprezentuje plejada poetów epoki neoromantycznej, uosobionej w pierwszym rzędzie w Janie Kasprowiczu. Jego „Księga ubogich" — jak sam poeta mówi — powstała „w obliczu Tatr, na codziennych przechadzkach w polu" i charakter tego tomu poezji przemawia za tym, że powstały one dla ukojenia duszy Kasprowicza, zmożonej w nieustannych prometejskich wzlotach, w walkach wewnętrznych, w zmaganiu się ze smutkiem, cechującym jego całe życie. To ukojenie znalazł Kasprowicz w obcowaniu z ludem ukochanego Podtatrza, w tej ziemi, która mu była droższa ponad rodzimą Wielkopolskę, w ziemi, w której spoczął na zawsze.

Olbrzymi potencjał twórczy tkwi w dorobku artystycznym Stanisława Witkiewicza. Witkiewicz jest naturalistą w pełnym tego słowa znaczeniu. Umie patrzeć i umie widzieć. Nie ubiera Tatr w obsłonki romantycznego idealizmu; są one dla niego wspaniałym, majestatycznym w swej prostocie tworem Natury — takimi też barwami maluje je w jednym ze swych najcelniejszych dzieł „Na przełęczy".

O ile Tatry w sztuce wymienionych poprzednio poetów i pisarzy posiadały specjalny koloryt, wynikający z filozoficznego stosunku do życia, to na koloryt ten w pewnej mierze wpłynęły i inne okoliczności; już to choćby, że ani Asnyk, ani Kasprowicz, ani Witkiewicz, podobnie zresztą jak i poprzedzający ich romantycy (Goszczyński, Pol, Zaleski) nie pochodzili z Podhala, (a środowisko wszakże ma ogromny wpływ na kształtowanie się światopoglądu poetyckiego). Kasprowicz i Asnyk pochodzili z Poznańskiego, Witkiewicz z Litwy, a poprzedzający ich romantycy przywędrowali w Tatry ze słonecznego Podola.

Podhale wydało kilku znakomitych artystów, z których na pierwszym miejscu wymienić należy Tetmajerów: Kazimierza — poetę i Włodzimierza — malarza, dalej Władysława Orkana - Smreczyńskiego; twórcą prawdziwej tatrzańskiej epopei jest jednak Kazimierz Przerwa — Tetmajer, autor „Skalnego Podhala" — najwspanialszej, być może, opowieści o Tatrach; jest w niej wielki talent poetycki, umiłowanie ziemi ojczystej, spotęgowane powrotem do wspaniałej, dzikiej, pierwotnej natury tatrzańskiej po okresie życia w atmosferze miasta i cywilizacji; jest w dziełach Tetmajera cały nawpół zaczarowany świat tatrzański, świat zbójników, niebotycznych szczytów, szumiących potoków, przepaści i urwisk; jest świat wielkoludów i koboldów, świat pierwotnego mieszkańca Tatr, który w nieustannym zmaganiu z Naturą wiedzie twarde, acz bujne, malownicze życie. Człowiek Tatr jest mocny, bo zahartowała go walka z Naturą dziką i nieustępliwą, która czyha na niego, grożąc śmiercią pod lawiną śniegu, czy olbrzymich głazów, urągając potężnym tchnieniem halnego wichru, rozszalałym żywiołem spienionego potoku. Człowiek Tatr stawia czoło tylko człowiekowi. Walczy z żandarmem austriackim, przyjmuje wyzwanie tego, kto gnębi słabszego. Przewagę nad nim ma tylko potęga Natury, której nic







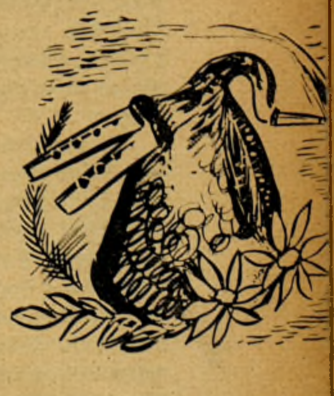
Zdjęcie u góry:
Mróz, Kobziarz z Podhala.

Zdjęcie środkowe:
Puszcza w Gorcach (rezerwat im. Orkana).

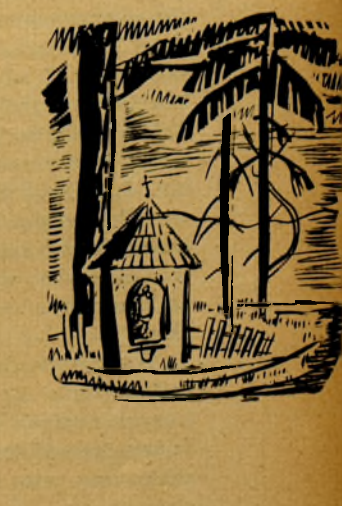
Zdjęcie u góry:
Drzeworyt Skoczylasa: Janosik z kochanką.

Zdjęcie u dołu:
Dwór Tetmajerów w Łopusznej na Podhalu









się nie przeciwstawi. Dzięki Tetmajerowi w jego twórczości odżył na nowo świat tatrzański, ginący powoli pod obuchem cywilizacji i kultury człowieka z nizin, wdzierającego się systematycznie w dziedzinę zaczarowanego świata Tatr.

Drugim takim dzieckiem Podhala jest Władysław Orkan. Do dziesiątego roku życia zwykły juhas — odkrył w sobie talent i rozwinął go, stwarzając szereg świetnych, barwnych obrazków z Podhala i Tatr, zawartych w licznych utworach powieściowych, dźwięczących melodyjną mową góralską i obfitujących we wspaniałe opisy gór.

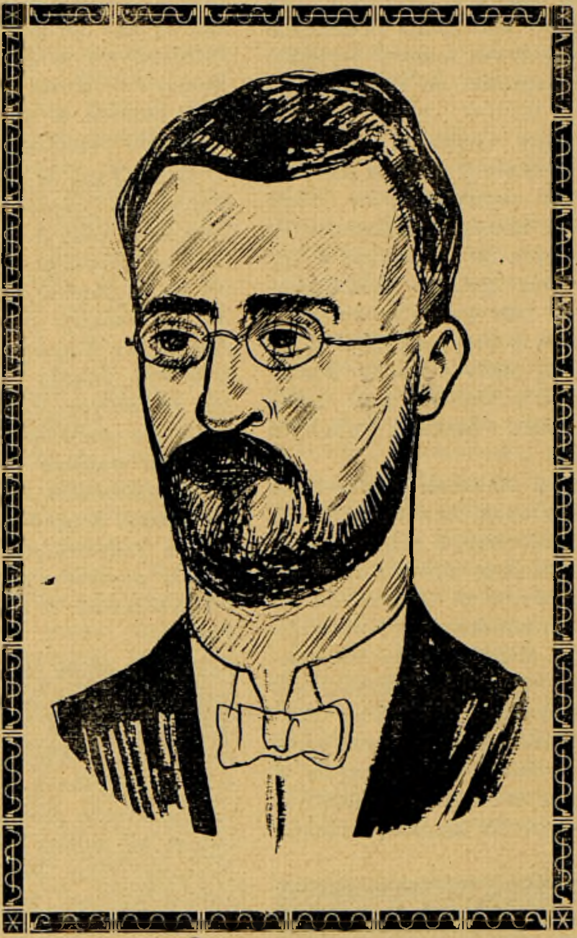
Wiele można by jeszcze wymienić pisarzy i poetów, związanych z Tatrami i Podhalem. O każdej porze roku w Tatrach można spotkać znanych dobrze literatów, poetów i powieściopisarzy. że wymienimy choćby Kornela Makuszyńskiego, Emila Zegadłowicza, czy Ryszarda Dobrowolskiego (autora poematu o Janosiku z Tarchowej).

Jest rzeczą znamienną, że artyści, których twórczość związana jest z Tatrami, często łączą w sobie podwójne uzdolnienia. Na przykład Witkiewicz pisze i maluje; te same uzdolnienia cechują Rafała Malczewskiego, artystę, ściśle związanego z Tatrami i Zakopanem. Karłowicz, o którym jeszcze będziemy mówić, komponował i pisał.

Malarstwo, związane z Tatrami, posiada już też swą tradycję; wspomnieliśmy już o Włodzimierzu Przerwie - Tetmajerze. Brat poety i pisarza jest świetnym impresjonistą, tworzy obrazy pełne nastroju z Tatr i życia ich ludu. Typowymi malarzami tatrzańskimi są Fałat, Ćwikliński i Gałek. Największym z malarzy Podhala jest Leon Wyczółkowski, w twórczości którego sprzęgło się nierozerwalnie wielkie umiłowanie ziemi Podhalańskiej z talentem najwyższej miary. Z młodszego pokolenia malarskiego wymieńmy na tym miejscu Rafała Malczewskiego (w którym uzdolnienia plastyczne łączą się z pisarskimi), dalej Zofię Stryjeńską i Władysława Skoczylasa. Tych dwoje artystów stworzyło zupełnie nowy i odrębny styl w malarstwie tatrzańskim, celując w stylizacjach z życia górali podhalańskich.

Tatry wywarły ogromny wpływ na kształtowanie się linii muzycznej niektórych naszych kompozytorów. Należy tu wyodrębnić muzykę operową, reprezentowaną przez Moniuszkę i Paderewskiego, od twórczości symfonicznej Noskowskiego, Żeleńskiego, Karłowicza i Szymanowskiego. Zacznijmy od operowej.

Każdy z nas zna „Halkę" i zachwyca się tańcami góralskimi, czy piosenką, graną przez dudziarza w ostatnim akcie tej opery, która sobie zdobyła zasłużony rozgłos i popularność nie tylko w Polsce, ale i na scenach zagranicznych. Zasługa Moniuszki jest jednak tym większa, że kompozytor ten nigdy w Tatrach nie był i nie miał osobistego kontaktu z muzyką góralską. Tym niemniej motywy podhalańskie w „Halce" są autentyczne i czarują nas zawsze swym tęsknym, wspaniałym nastrojem. Drugim kompozytorem operowym, w którego twórczości istnieją motywy góralskie, jest Ignacy Paderewski, który w swej operze „Manru" przeniósł akcję IV aktu w Tatry. Nad brzegiem tatrzańskiego stawu (Morskie Oko?) cyganie wykonują skoczny taniec, który, jakkolwiek nie jest oparty na motywach góralskich, wnosi do opery nastrój szczególny, chociażby ze względu na miejsce akcji.



Mieczysław Karłowicz

Polską twórczość symfoniczną, związaną z Tatrami, reprezentują w pierwszym rzędzie (jeśli chodzi o porządek chronologiczny). Żeleński i Noskowski. Wykonywane często u nas poematy symfoniczne tych kompozytorów („Morskie Oko" Noskowskiego i „W Tatrach" Żeleńskiego) są odbiciem wrażeń i przeżyć tych wybitnych muzyków. Słychać w ich poematach piosenkę pastuszą, szum siklaw, toczących swe wody ku jezioru i wyczuwa się podniosły, majestatyczny nastrój poranka nad Morskim Okiem, kiedy nad groźnymi szczytami Mięguszowieckimi, Cubryną i Mnichem przewalają się gęste chmury, kryjąc w swym spowiciu wyniosłe czoła skalnych olbrzymów.

Zupełnie inne są poematy symfoniczne Mieczysława Karłowicza. Trzydzieści lat mija w lutym bieżącego roku od chwili, gdy lawina, osuwająca się ze zbocza Małego Kościelca przysypała kamiennym całunem jednego z największych kompozytorów. Karłowicz pochodził z Litwy, z Tatrami jednak związał się silnie, ukochał je, podobnie jak Kasprowicz, czy Witkiewicz, jak swą drugą ojczyznę; tu, w obliczu turni i szczytów, w szumie potoków i halnego wiatru powstały „Odwieczne Pieśni", w których drga nuta filozoficznych rozmyślań o wszechbycie, miłości i śmierci. Karłowicz z pewnością doczekałby się sławy takiej, jak Szymanowski, gdyby go przedwczesna śmierć nie zaskoczyła w ukochanych przezeń Tatrach. Ze śmiercią jego poniósł stratę nie tylko świat muzyczny, ale i taternicki. Mały, skromny pomniczek w dolinie Suchej Wody, poniżej Czarnego Stawu Gąsiennicowego jest jedynym widomym znakiem, przywodzącym na pamięć przechodzącemu turyście wspomnienie o Mieczysławie Karłowiczu, najgłębszym piewcy Tatr w muzyce polskiej na lat 25 niespełna przed Karolem Szymanowskim.

Ten genialny kompozytor, którego „Harnasie" powstały prawie w ćwierć wieku po śmierci Karłowicza, zdołał swym olbrzymim talentem wskrzesić dźwiękami muzycznymi to wszystko, co do życia powołał Tetmajer w słowie, a Skoczylas i Stryjeńska w barwie i rysunku. Dzięki Szymanowskiemu odżył zaczarowany świat tatrzańskich zbójników — „harnasiów", świat pełen dziwów i mocy nadprzyrodzonych.

Tak więc Tatry i Podchale żyją w słowie, barwie i dźwięku w sztuce polskiej, która dzięki tej pięknej, poetycznej krainie wzbogaciła się o jeszcze jedną dziedzinę natchnienia dla pisarza, poety, malarza i kompozytora.

Om.

Młodzież a PRODUKCJA FILMOWA

Jednym z najważniejszych, a zarazem naglącym problemem w filmie polskim jest kwestia produkcji filmów związanych, lub mających choćby najmniejszy związek z młodzieżą, z jej życiem domowym, szkolnym, koleżeńskim itd.

Polska produkcja filmowa, tak dalece zajęła się filmami, dającymi obraz życia ludzi już dojrzałych, że zupełnie zapomniała o młodzieży, która jest dość dużym procentem publiczności uczęszczającej do kin. Rzadko kiedy daje się zauważyć na ekranach polskich film osnuty na tle przeżyć młodzieży. A jeżeli film takowy znajdziemy, będzie to niestety obraz produkcji zagranicznej. Podobnego filmu polskiego obecnie (poza kilkoma starymi) nie ma. Przychodzi mi na myśl teraz pytanie: Dlaczego nasi producenci i reżyserzy tak mało uwagi poświęcają młodym i jaka jest tego przyczyna?

Odpowiedź jasna i łatwa.

Zrozumiałą chyba jest rzeczą, że my Polacy nie możemy narzekać na brak literatury „młodzieżowej", czy też na brak przeszłości samej młodzieży. I tutaj właśnie należy szukać odpowiedzi na powyższe pytanie, która brzmieć będzie następująco: czynniki filmowe tak zapatrzone są w powieści dla starszych i stąd czerpią tylko tematy dla scenariuszy, że zupełnie zapominają o młodzieży, sądząc, że wśród tych młodych nie znajdzie się nic takiego, co mogłoby stać się przedmiotem zainteresowania widza kinowego.

Rzadko który naród ma w przeszłość swą wplątaną młodzież, tak chlubnie zapisaną na kartach historii. Nie każdy również naród posiada tak dużo utworów literackich, których bohaterami są wyłącznie młodzi.

Czyż więc pp. reżyserzy mogą się skarżyć i tłumaczyć swą obojętność w tej sprawie, brakiem tematów? Możemy jeszcze raz odpowiedzieć negatywnie, bo mamy ku temu dowody.

Czyż nie mogą być tematami filmów, sławne i bohaterskie czyny naszych braci z przed wieków? Wystarczy wymienić czasy rusyfikacji, Konstantego, Nowosilcowa, Wieszatiela czy też Legionów, obrony Lwowa, a skonstatujemy, że powyższe słowa są prawdą. Ale nie tylko w historii mamy rozwiązanie omawianego problemu, mamy go wszędzie, w naszym życiu codziennym.

Czyż nie posiadamy szkół kadeckich, szkoły morskiej czy choćby zwykłych zakładów naukowych? Czy tam nie znalazłby się temat?

Młodzież! — słowo krótkie, a tyle mówiące. Ile treści zawiera w sobie, ile smutku i radości? To wszystko możnaby sfilmować, odzwierciadlić. Temat tu niewyczerpany. Dlaczego zagranica potrafi go znaleźć, wyłonić, wydostać? Czy my Polacy jesteśmy inni, gorsi?

Przypomnijmy sobie jak wielkie powodzenie (złoty medal „Kina") miał niezapomniany film „Legion Ulicy". Czy i wśród tych małych, biednych, opuszczonych dzieci, jest temat wyczerpany?

Nieprawda! Jest tam tyle zmiany, tyle wstrząsających wypadków, że warto jest, a nawet należałoby przenieść je, odzwierciadlić i pokazać publiczności na srebrnym ekranie. Z kwestią tą łączy się również zagadnienie humanitaryzmu wśród społeczeństwa. Nie każdy ma w życiu (czy nie chce) okazję poznać biedę młodzieży opuszczanej, skrzywdzonej przez los, czy ludzi. Będzie więc ją miał na taśmie filmowej, będzie ją widział (nie czytał), a wówczas liczba zakładów wychowawczych, sierocińców, ochronek, zwiększy się napewno, z korzyścią nie tylko dla tych biednych, ale również dla całego społeczeństwa.

Na początku zaraz wspomniałem nieco o literaturze „młodzieżowej". Warto tę kwestię omówić trochę szczegółowiej. Posiadamy tyle tych utworów, że nie wolno nam się skarżyć na ich brak. Utwory te są różne: historyczne, podróżnicze, lotnicze itp. Na poważniejsze zastanowienie się i zwrócenie uwagi zasługują powieści: „Narodziny serca" — Morcinka, „Syzyfowe prace" — Żeromskiego, „Szkoła orląt" — J. Meissnera. Szczególnie ta ostatnia winna zainteresować pp. reżyserów.

Żyjemy w czasach, w których każdy naród dąży do wzmocnienia swej potęgi i wielkości. Cały świat zbroi się. Wzmacnia swe siły na lądzie, morzu i w powietrzu. Pokazanie więc nam kilku, równych nam wiekiem entuzjastów i miłośników „srebrnych ptaków" nie byłoby bez wyniku. Rozumiejący potrzebę zwiększenia naszej potęgi powietrznej, jeszcze bardziej umocniliby się w swych przekonaniach. Obojętni zaś, których niestety jest dość dużo, pojęliby swe dotychczasowe błędy. Zmieniliby się. L.O.P.P. pozyskałby bezwątpienia kilka set tysięcy nowych członków. Lotnictwo polskie zwiększałoby się z podwójną energią.

W dalszym toku omawianego problemu, pozostaje do rozwiązania sprawa aktorów, czyli odtwórców ról, wziętych z prawdziwego życia.

Dlaczego filmy amerykańskie coś w rodzaju „Serc ze stali" czy też „Dwuch serc" odniosły (jak w ogóle inne podobne) tak poważny sukces w sferach znawców kinematografiki jak i w sferach publiczności kinowej? Dlaczego? pytamy.

Odpowiedź również łatwa.

Każdy kto oglądał te obrazy, kto uważnie śledził grę tych młodych aktorów i starał się wczuć, wejść w ich życie, musi powiedzieć sobie, że tak tylko potrafi zagrać artysta (poza pewnymi wyjątkami), który miał coś z tym wspólnego w życiu własnym, a więc pochodził z tej grupy społeczeństwa.

Polska produkcja filmowa spróbowała raz jeden iść śladem producentów zagranicznych i zaangażowała młodzież szkolną do gry w filmie pt. „Dzień wielkiej przygody". Ale na tym (mimo powodzenia obrazu) stanęła.

Dlaczego?

Tak więc po powierzchownym zaledwie rozpatrzeniu problemu, konstatujemy, mało — wołamy: Czynniki filmowe w Polsce powinni zwrócić uwagę na nas młodych i rozpocząć nakręcanie filmów z nami związanych.

My młodzi lubimy oglądać filmy kryminalne, historyczne, komiczne itp., ale wolimy oglądać obrazy wzięte z naszego życia, w którym nie ma „blagi", fantazji — wszystko jest prawdą. Jak interesują nas filmy, mówiące o nas, to dowodem mogą być zapełniane po brzegi sale, w czasie wyświetlania filmów: „Młody Las", „Dzień wielkiej przygody" itp.

E. Kościan.
Liceum Administracyjne



Cały dzień chodziło za mną po zachlapanym Krakowie nagłe poczucie wiosny. Skąd się niby wzięło w styczniu? Skąd wieczorem tyle kolorowej legendy nad Krakowem? Mokro i brudny wodnisty śnieg pod nogami, na jezdni bure tamy i podtopy — a niebo o zachodzie wiosenne i świeżo gorejące, jak na obrazie?

Z obrazów wyniosłem tę wiosnę!

To Axentowicz tak kochał wiosnę i świeżość, a widział ją jak w kwiatach, w twarzach kobiecych. Na dużym autoportrecie mądre, zadumane spojrzenie dojrzałego artysty.

Nie mącą go nawet długie czarne szarfy u dołu, bo nawet wśród czerni krepy żółcą się kwiaty! Nie czuje się śmierci tam, gdzie zostaje żywe dzieło! Czuć natomiast wiosnę wieczystą. Sztuka i piękno są nieśmiertelne!

Axentowicza znamy jako autora popularnych „słodkich" główek kobiecych. Jakoż te główki przeważają na wystawie. Nie lubię, gdy go nazywają „wytwornym" malarzem. Nie o „wytworność" mu chodziło w obrazie i nie o „przesłodzenie" piękna modelu — chodziło, jak zawsze artyście, o stworzenie własnego świata piękna, bajecznie nowego, różnego od tego właśnie, co nas otacza dookoła.

Axentowicz znalazł w ciele kobiecym wiele kolorytu świeżych kwiatów — i tą odkrytą przez siebie drogą, szedł zda się, naprzekór życiu. Poezję samą, subtelność i zwiewność chciał widzieć w modelu. Z bryły materialnej, atletycznej i ciężkiej — wyczarowywał samą świeżość i wiosnę. Drogą tą szedł dc ostatka, choć współcześnie w życiu zamiast swoich powiewnych nimf, widział muskularne, opalone, wysportowane chłopczyce. To „przesłodzenie" główek, o którym przy Axentowiczu często słyszymy, wynikło stąd, że **rozpoetyzowany** malarz zaklinał w powiewne, ledwo uchwytne postacie swoją wielką i mocną **miłość piękna,** zbieranego z setek ładnych przeciętnie i przeciętnie banalnych „piękności".

Jest coś nerwowego w pociągnięciach pędzla, czy kredki Axentowicza. Nigdy nie zadawala się jednym konturem, jest ich kilka, ale się wzajemnie nie głuszą, nie tłumią. Całość przez nie staje się żywa i niespokojna. Jest u Axentowicza sugestywna, **żywa linia,** którą widzimy na twarzach, w oczach, w fałdach sukni — ba, nawet w podpisie. Jego podpisu szuka się na obrazie jak jakiegoś dopełniającego, potrzebnego szczegółu. „Żywe linie"... Axentowicz, poetyzując, z jednakim wzruszeniem artystycznym zapala błysk oczu, jak błysk perły — Atłas miękkich fałdów sukni i miękkość włosów!

Pastel — jako subtelna technika malarska — odpowiada Axentowiczowi — poecie.

Ale na wystawie widzimy i olejne płótna. Najpierw znana wszystkim z reprodukcyj „Kołomyjka". Przed chałupą na ławce pod oknem muzykanci: skrzypek i basista — a na podworcu tańce! Ciemne, bose nogi dziewczęcia i przytupujące buciska parobczaka. Ruch radosny i furkocąca czerwień wstąg i korali. I znów **wiosna!** Młodziutka, piękna dziewczyna wiejska! W wiejskim stroju — czy w jedwabiach to samo żywe piękno! Ale tu już nie o nią tyle chodziło, co o ruch roztańczenia. Dwie pary taneczne **w ruchu!** Ten sam motyw powtórzony jest w kilku akwarelach.

Świat wsi nie był więc „wytwornemu malarzowi kobiet" obojętny: Babulinki wiejskie w grubych chustkach — z „święconym" w koszach i kobiałkach, staruch ślepy i sierotka z dzbankiem — procesja jordanowska — itd.

Z obrazów historycznych widzimy „Poselstwo polskie przed Henrykiem Walezjuszem".

W przeciwieństwie do „słodkich" pastelowych obrazów — obrazy olejne Axentowicza mają **pełną skalę:** od surowych niedomówień, aż po finezję wykończenia. W „Kołomyjce" i w „Poselstwie" — poznajemy technikę olejną Axentowicza. I w niej posługuje się żywym, nerwowym pociągnięciem pędzla, ale w przeciwieństwie do pasteli, widzimy tu mniej „ugłaskania", więcej bryły.

W pastelu ma dwie techniki: nowszą, pobieżniejszą trochę z przeróżowieniem policzków — i dawną ciemną, bardzo bliską technice Wyspiańskiego. Osobiście wolę tę dawną „klasyczniejszą".

Talentem jest Axentowicz bliski Wyczółkowskiemu — ale technicznie mniej wszechstronny. Nazwano go „wytwornym malarzem kobiet" — tymczasem on jest **poetą i malarzem wiosny.**

*

Fachowiec, dorwawszy się do tych dyletanckich notatek ośmieszyć może wszystko — prócz tego szczerego uczucia wiosny, o którym rzekłem na początku. Tyle jeszcze w sobie odkrywamy świeżego młodzieńczego uczucia, odgrzebaliśmy naszą — za niepowrotną już uznaną: **wiosnę!**

Kiedy zwiedzałem wystawę, w salach było pusto. Z ulicy dolatywał, niemiły szczęk szufel i łopat. Dwa światy: ten i tamten. Tu **cisza** zamknięta w złote ramy, bliższa snu i śmierci niż życia, tam **ruch** wróg spokoju i ciszy.

Tamten za oknami pulsuje krwią żywą, kipi, przewala się w brzegach jak niespokojna woda, zdobywa, pędzi — ten: uśpiony, cichy, lunatyczny... a jednak długowieczniejszy!

„Vita brevis — ars longa".

Ludwik Bałda.

Grzymałów 26.I. 1939.



K. Axentowicz: Portret syna

Z nami potęga

Człowiek dopiero jest człowiekiem, gdy żyje w służbie idei.

Szczepanowski
Aforyzmy o wychowaniu 1898.

Zebrało się tu nas okrągło sześćdziesięciu.

Przybyliśmy niemal ze wszystkich stron Polski: z Warszawy, z pod Białegostoku, Lubelskiego, Kieleckiego, Łódzkiego, Pomorza... Przygnała nas chęć poświęcenia się szczytnemu zawodowi nauczycielskiemu. Każdy z nas nim tu przybył długo siebie badał, czy nie cofnie się z drogi, czy będzie mógł podołać pracy, która go czeka po ukończeniu Liceum.

A praca to niebylejaka i ciężka...

Wielki i odpowiedzialny obowiązek przyjdzie nam wziąć na nasze młode, bezsilne zapałem barki. Lecz tego się nie lękamy i jesteśmy przeświadczeni, że pracy i obowiązkom podołamy, choćby nam przyszło najtrudniejsze zwalczać przeszkody i z najcięższymi losu przeciwnościami się borykać.

Gdy przyjmowani byliśmy w poczet uczniów Liceum, każdy z nas przyrzekał: „Damy z siebie wszystko, damy maksimum wysiłku, damy duszę całą..." bo „Kto duszy żąda, duszę dać musi, kto sięga po duszę duszą swoją płaci" (J. Piłsudski, Dowodzenie podczas wojny VIII.1923). A my przecież ręce po młode dusze wyciągniemy... Dlatego też według tej zasady będziemy żyć i postępować.

Od nauczyciela wiele się żąda i wymaga, bo on przecież kształtuje duszę i psychikę Narodu. Więc każdy czyn nasz pomnożyć musi siłę i potęgę Polski, musi ją podnieść na wyżyny kultury duchowej i fizycznej.

Tę pracę rozpoczynamy już tutaj, w szkole, która przygotowuje nas do zawodu nauczycielskiego.

A sposób wychowania i nauki w Liceum Pedagogicznym w wielu punktach jest różny od metod, jakimi się w tych dziedzinach operuje w innych typach gimnazjów. Uwarunkowane zaś jest to tym, że my, przyszli pedagodzy, mamy być specjalnym typem ludzi o wielkich zadaniach.

Dola nauczyciela jest ciężka i twarda, jest pełna poświęcenia.

Ten, kto zostaje nauczycielem wie, że życie płynąć mu będzie nie po kwiatach, nie wśród uśmiechów szczęścia i radości, lecz wśród ostów i cierni doznawanych cierpień, zawodów, przykrości...

Niejeden już cofnął się z tej drogi, niejeden przeklął ten zawód.

„Lepiej kamienie tłuc, niż zostać nauczycielem bez powołania" („Orka na ugorze" Jan Wiktor).

Nasza „Alma Mater" jest zakładem, gdzie nie ma wiele czasu na odpoczynek czy rozrywki. Tu wciąż jest się zajętym. Jak nie lekcje, to praca społeczna w szkole i poza nią. Bowiem poza właściwą pracą nauczycielską, każdy z nas musi umieć zorganizować i prowadzić pracę społeczną, musi umieć zorganizować gromadę ludzi, wśród której się znajdzie, musi ich uświadamiać, wskazywać cele i obowiązki, które nań ciążą i winny być wykonane. Bo tylko wtedy państwo może być silne, mocne, potężne, może się nie lękać wroga i przegranej, gdy wszyscy są w nim na swoich stanowiskach obowiązkowi, dokładni, pracowici. Państwo wtedy rośnie na sile, zyskuje sławę i prestiż, gdy jest związane, zespolone mocnymi więzami wzajemnego zaufania obywateli do siebie, gdy wszyscy oni rozumieją swe zadania i zawsze gotowi są do ofiar i poświęceń.

Zadaniem nauczyciela jest wychować Państwu typ takich właśnie ludzi. A na to, żeby ich takimi wychować wiele potrzeba umiejętności i jeszcze więcej pracy. Trzeba umieć być cierpliwym, trzeba umieć być sprawiedliwym, trzeba umieć wychowywać nie groźbą, złorzeczeniem, lękiem przed karą, lecz Sercem, Sercem, i jeszcze raz Sercem!!

Trzeba nauczyć ludzi żyć i postępować, pokazać im co jest złe, a co dobre, wskazywać im piękno, otwierać oczy na sprawy i rzeczy, które powinny być naprawione, nauczyć cenić trud i pracę.

I — co chyba jest najważniejsze — trzeba nauczyć ich być Polakami. Ale nie takimi z nazwy, ale z krwi, kości i serca, Polakami w każdym calu. Trzeba nauczyć ich kochać Polskę, muszą wiedzieć, że „Polska to wielka rzecz", że Polska to oni, to wsie i miasta, domy i fabryki, pola zielone i łąki kwieciste, lasy szumiące i srebrzyste wstęgi rzek...

Ogrom pracy przed nami! Pracy długiej, wytrwałej, nieustannej, obliczonej na lata. Bo tego nie da się wykonać w ciągu dziesięciu czy dwudziestu lat.

Na to, aby praca ta nie pozostała w świecie rojeń, mrzonek i planów potrzeba pracy całych pokoleń. Jedno pokolenie rady nie da!... W pracy tej trzeba nam wszystkim zestrzelić wolę w jedno ognisko; trzeba zdobyć się na wielki wysiłek umysłowy i fizyczny.

I nie budujmy wciąż nowych planów i systemów, nie twórzmy nowych — według nas — lepszych — projektów, krytykując dawne, bo to do niczego nie doprowadzi. Nie krytyki nam trzeba, ale czynu, czynu twardego!

Dlatego też zadaniem każdego nauczyciela, gdy przychodzi na nowe stanowisko jest nie rozpoczynanie pracy od nowa, reformowanie jej, naprawianie, ale kontynuacja, doprowadzanie coraz dalej i wyżej.

Inna rzecz, że wtedy, gdy widzi się, że praca prowadzona przez poprzednika była źle pojmowana i źle wykonywana, trzeba ją naprawić. To nie ulega kwestii. Należy jednak przedtem wszystko dokładnie rozważyć, zbadać, przemyśleć, aby nie zaplątać się, pogmatwać wszystko i popsuć to, co przedtem dobrze było zrobione. Pozory często mylą. Rzecz należy przemyśleć dogłębnie, dostać się do jej jądra.

Nad tym, abyśmy się stali ludźmi gotowymi do pracy, „specami" w swym zawodzie, ludźmi, którzy umieją poradzić i pomóc sobie i innym, w każdej sytuacji i życiowej, pracują nasi profesorowie i wychowawcy. Wytwarzają i wychowują nas w takiej atmosferze, abyśmy nie zawiedli pokładanych w nas nadziei, „aby wychowankowi było dobrze i innym z nim dobrze" (Komisja Edukacji Narodowej).

Uczymy się być ludźmi, którzy nie lękają się tam, gdzie potrzeba mówić prawdę prosto w oczy, bo musimy przecież zwalczyć pruderię i fałsz, których tyle w życiu. Przed nami zadanie umoralnienia życia, wyrzucenie poza nawias tego wszystkiego co złe, niesprawiedliwe, zawistne, pyszne, samochwalcze, samolubne.

Na nauczycieli kształcimy się nie dlatego, aby stać się bogatymi czy choćby zamożnymi, bo wiemy, że nauczyciel wynagradzany jest za swą ciężką pracę tylko tak, że wystarczy mu na jakie takie życie. Jeszcze żaden nauczyciel nie zrobił na pracy pedagogicznej majątku. Nauczyciel to idea, a nie pieniądz.

„Tylko głupiec chce pieniędzy i dla zrobienia milionów poświęca wszystko, życie, i miłość, i prawdę, i filozofię, i wszystkie skarby człowieczeństwa, a gdy się już tak nasyci, że może pluć milionami, cóż wtedy?" (Ziemia obiecana" Wł. St. Reymont).

Nauczyciel nie ma większego zadowolenia nad poczucie, że wszystko, co mógł i należało wykonał jaknajlepiej, że wychował państwu zastęp dobrych obywateli i prawdziwych Polaków. Bo to przedstawia większą wartość niż największe sumy pieniężne, „sumy bajońskie", czy „neapolitańskie".

A pamiętajmy zawsze, że z rzeczy i prac drobnych składają się wielkie, nieprzemijające, wiecznotrwałe wartości ducha ludzkiego, powstają potęgi nigdy niezłamane.

Tadeusz R. Boniecki
Liceum Pedagogiczne (Łowicz)

PRZEGLĄD WYDARZEŃ

10 luty.

10 lutego minęła 19-ta rocznica zaślubin Polski z morzem. Wydarzenie ogromnej, historycznej miary, przesłonięte już nieco kurzem minionych lat, przypominamy dzisiaj nie dlatego, ażebyśmy w wspominkach widzieli cel sam w sobie, lecz dlatego, ażeby przed oczy naszych Czytelników postawić i przypomnieć im istnienie wielkiego problemu morskiego Polski odrodzonej. Nieumiejętna często propaganda morza, frazeologia morska, wzniosłe obchody, radość kąpieli i plaż, spaczyły nieco stosunek szerokiego ogółu społeczeństwa, a wśród niego i młodzieży, do zagadnień morskich. Te ostatnie istnieją dla nas tylko w małej cząstce, tej, którą można z łatwością dojrzeć z pokładu spacerowego statku, z okna pensjonatu lub z żaglówki. Reszta znana jest nam tylko z cyfr statystycznych przywozu i wywozu, z łatwych a niezawsze odpowiedzialnych krytyk naszych poczynań morskich, z komunikatów o żegludze. Stosunek nasz do zagadnień morskich jest wybitnie uczuciowy, co zaś więcej... zbyt często platoniczny.

Czym jest polski problem morski? Jest kwestią maksymalnego wykorzystania morza przede wszystkim pod względem gospodarczym. 19 lat pracy Polski na morzu pozwala nam dzisiaj na dumne stwierdzenie, że mamy wszelkie dane po temu, aby być pierwszym państwem morskim na Bałtyku. Posiadamy już formy pracy: mamy Gdynię, mamy Władysławowo, mamy stale rozwijającą się flotę handlową i wojenną. Brakuje nam ludzi. Nie jest ambicją Polaków stać się narodem morskim tak, jak są nim Anglicy, Holendrzy, czy Portugalczycy. Jesteśmy i w zasadzie będziemy długo jeszcze krajem rolniczo - przemysłowym. Ale ilość ludzi, którzy pracą zwiążą się z morzem, ilość żeglarzy, handlowców, pionierów kolonialnych nie może być mierzona długością naszego wybrzeża, lecz wielkością potrzeb i nadziei, jakie z morzem wiążemy. Tymczasem jednak wyrzeka się na zażydzenie Gdyni, ale nie ma tych, którzy by mogli się jąć handlu morskiego, którzy by — przede wszystkim — orientowali się praktycznie w zagadnieniach morskich. Brakuje nam fachowców w dziedzinie techniki morskiej, handlu towarowego, maklerstwa, obrotu pieniężnego itp. Są to dziedziny wymagające specjalizacji i praktyki, wymagają one ponadto sił i inicjatywy osobistej. Jeżeli jednak jej nie wydobędziemy, możemy łatwo stanąć z własnej tylko winy wobec faktu niewykorzystania i nieposiadania polskiego morza i tego, co najsilniej nas z nim wiąże — morskiego życia gospodarczego.

Na dwóch końcach Osi.

Zmierzająca ku końcowi wojna domowa w Hiszpanii i zwycięstwo gen. Franco, nie jest tylko sprawą wewnętrzną tylko tego kraju. Nie jest to również walka dwóch idei: totalnej i marksistowskiej — na płaszczyźnie czysto światopoglądowej. Wytrwałe pomoc Włoch dla wojsk gen. Franco i ostatnia rezolucja Wielkiej Rady Faszystowskiej, rzucają wyraźne światło na to, że — sprawa hiszpańska — jest tylko jednym z umiejętnie przeprowadzanych wycinków polityki państw — Osi.

Gwarantowanie bowiem Hiszpanii Narodowej przez Włochy „całkowitego zwycięstwa politycznego" (tak brzmi rezolucja W. R.) uderza silnie we Francję, częściowo zaangażowaną po drugiej stronie barykady. Dotyczy to zresztą nie tylko Francja. Anglia de nomine niezaangażowanej czynnie na odcinku hiszpańskim, grozi to — zwycięstwo polityczne osi — utratą w pewnym sensie potęgi nie tylko politycznej, ale nawet i gospodarszej. Niemcy bowiem, stawiające ogólnikowe żądanie na temat kolonii, opowiedziały się na wypadek wojny po stronie Włoch, i to nawet bez względu na to, czy Włochy będą napastnikiem, czy też będą napastowane.

Tak więc nawet chwilowe niezgodności interesów obu państw nie będą stały na przeszkodzie w coraz bardziej zacieśniającym się sojuszu, gdyż wg. oświadczenia Hitlera, „Niemcy nar - socjalistyczne zdają sobie doskonale sprawę z tego, jaki by je los czekał, gdyby kiedykolwiek siłom międzynarodowym udało się powalić Italię Faszystowską".

Stąd też zupełnie zrozumiałe niezadowolenie, z jakim Niemcy śledzą próby zawiązania ścisłego sojuszu między Anglią i Francją, i jak boją się porozumienia Angli i Francji z gen. Franco.

Niepokoje podkarpackie.

Kwestia hiszpańska nie odwróciła jednak uwagi Niemiec od spraw Rusi podkarpackiej, Niemcy dobrze pilnują swoich interesów.

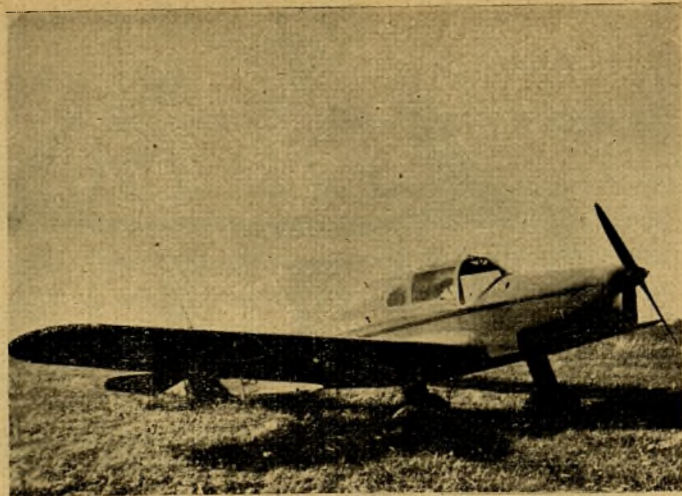
Przedstawiciel mniejszości niemieckiej na Słowacji i Re-

waj, minister w rządzie Rusi podkarpackiej stwierdzili konieczność bliskiej współpracy Ukraińców i Niemców.

Ma ona być nie tylko nakazem chwili, lecz i wyrazem wspólnych idei.



Leopold Staff doktorem honoris causa uniwersytetu J. Piłsudskiego w Warszawie.



Z życia L.O.P.P. Wynik trzyletnich prac i dążeń w dziedzinie konstrukcji: dwuosobowy samolot popularny R.W.D. 16

Ze strony Pragi akcja ta nie spotkała się z żadnym oporem, a wręcz przeciwnie. Wg oświadczenia czynników oficjalnych ścisła współpraca z Niemcami na wszystkich terenach ma być wytyczną polityki Czecho - Słowacji.

DLACZEGO JESTEŚMY IM POTRZEBNI

W okresie letnim roku bież. do pracy wśród Harcerstwa Polskiego Zagranicą wyjechało przeszło 70 instruktorów i instruktorek harcerskich.

Zastanówmy się po co oni wyjechali i czy potrzebnie wydali swój, nieraz ciężko zapracowany grosz, na bilet kolejowy, czy autobus.

Miesiące letnie: czerwiec, lipiec i sierpień to w pracy harcerstwa polskiego zagranicą specjalnie ważny okres. Trudne warunki, w jakich znajduje się młodzież zagraniczna, sprawiają niejednokrotnie, że dopiero w okresie wakacyj, czy urlopu można zrzucić jarzmo wpływów obcych i przez dwa do 4-ch tygodni spędzać czas na obozie w środowisku i atmosferze czysto polskiej. Wielkie wartości, jakie wnosi praca harcerska do życia narodowego Polaków na obczyźnie są niewątpliwie wielką siłą atrakcyjną Harcerstwa. Już czysto zewnętrzne emblematy harcerstwa, jak sztandar biało - czerwony, hymn narodowy, posługiwanie się tylko polską mową, a w szczególności propaganda pieśni polskiej są elementami zespalającymi z Macierzą - Polską. Nawet słabo mówiąca po polsku młodzież stara się w życiu obozowym posługiwać tylko językiem ojczystym. A w życiu polowym, na wycieczkach, czy ćwiczeniach nie do pomyślenia jest użycie mowy nie polskiej. To wyczucie języka rodzinnego w spółżyciu z przyrodą i zajęciami harcerskimi jest tak wielkie, że śmiesznym wydaje się użycie innego języka niż polski n.p. przy podawaniu depesz na odległość za pomocą sygnalizowania chorągiewkami.

Głęboką treść harcerską wypełniają idee zawarte w prawie harcerskim. Hasło realizowania życia ideowego stanowi doskonałą przeciwwagę poglądom materialistycznym, przeważającym w środowiskach, w których żyje młodzież na obczyźnie.

Prócz pracy na polu uświadamiania ideowego i uodparniania przed wynaradawiającym wpływem obcego środowiska, harcerstwo zagraniczne w swych założeniach wychowawczych musi zastąpić brak szkoły, czy opieki ze strony domu. Czyni to przez cały rok w swej niemal codziennej pracy, ale pełnię tych założeń realizuje na obozach letnich.

Obóz letni, ta najwłaściwsza realizacja metod harcerskich, w pracy zagranicznej nabiera wartości specjalnych, odmiennych niż te, które osiągamy w kraju. Najważniejszym bowiem momentem jest skupienie razem młodych dusz, owianych gorącym uczuciem miłości do ojczystego kraju.

Dzięki temu skupieniu młodzieży polskiej mamy możność utrzymywania jej przez dłuższy czas w atmosferze harcerskiej, gdzie godziny uważnej i twórczej pracy przeplatają się beztrosko z objawami żywiołowej radości.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w lecie roku bież. zorganizowano takich obozów, czy wycieczek kształcących ogółem ponad 150 i, że brała w nich udział zagraniczna młodzież w liczbie ok. 5 tys. uczestników, nie trudno zorientować się w ogromie pracy, jaką na polu zagranicznym prowadzi Związek Harcerstwa Polskiego.

Zygmunt Syrokomski.



Student z Oxfordu.

Wytw. amer. Metro - Goldvyn - Mayer, rez. Jack Gonway.

W r. gł. Robert Taylor, Maurren Sullivan, Lionel Barrymore.

Opuszczając ten barwny, interesujący i żywy film znów, poraz niewiadomo który, musimy sobie powiedzieć, że jednak Ameryka przoduje. Będziemy wprawdzie nieraz jeszcze zachwycali się niektórymi, zresztą dosyć nielicznymi, wytworami produkcji europejskiej, będziemy chwalili Sacha Guitry'ego czy wspominali z sentymentem René Claire'a, będziemy się bronili twierdzeniem, że Amerykanie są gruboskórni, że kradną nasze (czyli europejskie) pomysły, naszych aktorów, naszych reżyserów — ostatecznie jednak zgodzimy się bez zastrzeżeń, że prawdziwie dobre widowisko filmowe potrafią zrobić tylko w Ameryce. Powiedzieliśmy „widowisko filmowe" w odróżnieniu od czegoś, co zbliża się do teatru czy kameralnej scenki, od czego co tym samym zatraca nieco filmowy charakter. Bo film to przede wszystkim zademonstrowanie do maksimum ruchu w czasie i przestrzeni, to rewia dynamiki, tempa i energii, to wykorzystanie możliwości przerzucania się z miejsca na miejsce. I tutaj geniusz amerykańskiej produkcji jest nie do prześcignięcia. Przy wspomnianym filmie, można było nie patrzeć na afisz, nie znać nazwiska reżysera czy aktorów, nie wiedzieć jaka wytwórnia jest pod filmem podpisana — mimo to jednak na ślepo stwierdzić, że film „Student z Oxfordu" — to dzieło amerykańskie.

Akcja rozwija się w murach najsłynniejszej uczelni świata, bogatej w piękne tradycje, szczycącej się najlepszymi wychowankami. Nie pokazano nam wprawdzie nauki, lecz zato życie studentów, pełne beztroskiego humoru, pomysłowości i dzielności, przyjemnego stosunku z profesorami, przywiązania do uczelni.

Bohaterem filmu, Li Sheridan, to Amerykanin, który za pobicie rekordu akademickiego w biegu na 1/4 mili ang. otrzymuje stypendium do Oxfordu. Tutaj trafia w środowisko wspaniałych młodzieńców, o nieco innym podejściu do życia niż Amerykanie. Pragną oni początkowo ukrócić nieco bezpośredniość i pewność siebie obywatela U.S.A., następnie jednak zaprzyjaźniają się z nim serdecznie, podbici jego szczerością, otwartością, prawością no i talentem prawdziwego sportowca.

Momenty sportowe z lekkiej atletyki, życia studenckiego na boisku i wioślarstwa (sławny mecz Oxford-Cambridge) oraz fragmenty pomysłowych zabaw młodzieży akademickiej — wyreżyserowano z pełną maestrią. Akcja filmu przeprowadzona jest doprawdy bez zarzutu, ciekawa i żywa, a flircik studencki wpleciony jest sympatycznie i dyskretnie.

Robert Taylor czuje się znakomicie w roli studenta - sportowca. Jest to zresztą podobno autentyczny fragment jego młodości. Kapitalną sylwetkę stwarza wytrawny lew ekranu, Lionel Barrymore w roli ojca bohatera i jednocześnie redaktora prowincjonalnej gazety amerykańskiej. Świetne typy profesorów i służby uniwersyteckiej.

Kto wie, może to najlepszy z filmów studenckich, jakie w ogóle oglądaliśmy.

Ludzkie serca — reż. Sam Wood, w roli gł. Wallace Beery i Mickey Ronney, wytwórnia Metro - Goldwyn Mayer, dozw. od lat 7.

Zapijaczony eksweterynarz, wyrzutek społeczeństwa, pod wpływem czarodziejskiej miłości chłopca, który traktuje go wzamian za okazaną, aczkolwiek niechętnie, pomoc jak rodzonego ojca — odkrywa przed wzruszonym widzem całe bogactwo swego ludzkiego serca, które pokrył osad występku i nałogu.

Amerykanie potrafią — i to jest wielka zaleta ich filmów — uczyć nie nudząc. Zdawałoby się, że treść mająca na celu zobrazowanie „nawrócenia grzesznika" może się stać bardzo łatwo nudną „piłą". Gdzież tam! — film po przez tętent wspaniałych wyścigowców, doskonale zdjęte plenery, fenomenalną mimikę obu aktorów — kipi życiem; wartkim strumieniem, choć nie brak komplikacji, płynie akcja filmu — życie amerykańskich trampów, którzy potrafili odnaleźć wśród machlojek toru wyścigowego i oparów trzeciorzędnej knajpy — swe ludzkie serca.

Ewa Runge



Robert Taylor jako student z Oxfordu

„MADAME SANS GÊNE"

TEATR LETNI

Stara komedia Wiktoryna Sardou wystawiana już siedem razy w stolicy nabiera rumieńców młodości i posmaku aktualności. Dziś nikogo nie dziwią fantastyczne kariery napoleońskich żołnierzy. Bo czemu porucznik nie ma zostać cesarzem, sierżant — marszałkiem, a praczka — arystokratką, jeśli malarz pokojowy i syn kowala są dyktatorami kilkudziesięcio milionowych państw.

Ta aktualność jest jednym z atutów powodzenia „Madame Sans Gêne". Jednym, bo jest ich więcej. Przede wszystkim sama komedia, tryskająca optymizmem i wiarą w człowieka, pełna perełek humoru, będąca właściwie przez cztery odsłony zlepkiem przedowcipnych i frapujących anegdot historycznych. I do tego sztuka jakby przystosowuje się do modnego dziś „odbrązawiania wielkości" pokazując nam dwór cesarski od strony pralni i rodzinnych kłótni. „Bóg wojny", dotąd niedosięgalny i nieprzystępny wielkością stał się poprostu zwykłym, szarym śmiertelnikiem, który ma swoje kłopoty rodzinne i jest zdradzany przez żonę.

Tę naturalność w sposobie przedstawienia Napoleona świetnie określił jeden z recenzentów mówiąc, że „pokazano nam Napoleona w pantoflach".

Teatr Letni zdobył się na widowisko w naprawdę wielkim stylu.

Trudną rolę tytułową tym razem powierzono Irenie Eichlerównie. Ta świetna artystka wniosła do dotychczas komediowo traktowanej roli akcenty dramatyczne, odnosząc jeszcze raz triumf. Księżna Gdańska mimo mitry i dworskich ceregieli pozostała pełną prostoty praczką z paryskiego przedmieścia. Piękna Kazia nic sobie nie robi z napuszonego i zimnego etykietą dworu cesarskiego, tylko to co ma na sercu, to wyrąbie bez osłonek. Jej „rozmowa" z siostrami Napoleona przerywana jest co chwilę burzą oklasków. Nie każda „Sans Genka" zbierała oklaski przy otwartej Kurtynie.

Junosza - Stępowski jest zbyt doświadczonym aktorem, aby mógł nie grać dobrze. Stwarza kapitalną maskę i sylwetkę „boga wojny". Tylko głos nie bardzo trafia nam do przekonania. Zapewne zbyt przyzwyczailiśmy się słyszeć go w ustach „Znachorów".

Bilansując komedia daje pełne zadowolenie artystyczne i miłą rozrywkę. Pójdźcie, a zabawicie się, weźmiecie trochę radości życia od której jest co wieczór jasno i ciepło w saskim „drewniaku".

STEFAN KALICKI
Gimn. Świeżyńskiej-Słojewskiej

CO PISZĄ INNI O MŁODZIEŻY?

Gazeta Polska z dnia 31.I 1939 Nr. 39 zamieściła na naczelnym miejscu artykuł, zatytułowany „Młodzi". Autor artykułu przeciwstawia się mianowaniu młodzieży „gorszą" lub „lepszą" od starszych. Młodzi — powiada — „poprostu są „inni". „Inność" ta ma swoje głębokie uzasadnienie":

Starzy — dowodzi autor — wzrośli w niewoli, przeszli przez walkę o niepodległość — i wspomnienia tamte są dla nich czymś drogim, nienaruszalnym.

Tymczasem Państwo Polskie dla młodych istniało i istnieje, a okres niewoli uważają oni słusznie za zjawisko przejściowe, nienormalne, odległe. I stąd też innym jest ich stosunek do państwa, jest on spokojny, trzeźwy, realny.

Nie posiadają też oni tej niewiary we własne siły, „kompleksu niższości" — tkwiącego jeszcze niestety w części starszego pokolenia, które od kołyski życie pędziło w niewoli.

Ciężkie warunki walki o byt codzienny kształtują psychikę młodych. Uczą wytrwałości, cierpliwości, zaciętości w walce o „miejsce pod słońcem".

Radykalizm młodych płynie z przeświadczenia i wiary, że świadoma wola ludzka zdolna jest w taki sposób oddziaływać na duchowe i materialne warunki życia, by zapewnić rozkwit i potęgę państwa, a każdemu z jego obywateli sprawiedliwy udział w dochodzie społecznym. Młodzi rozumują, że jeżeli rzeczywistość odbiega w wielu punktach od wymarzonego przez nich stanu rzeczy, to widocznie organizacja woli zbiorowej szwankuje i należy szukać dróg jej usprawnienia.

Komunikujemy wszystkim Koleżankom i Kolegom, którzy nadesłali sprawozdania (ze swych terenów gimnazjalnych i miejskich), że z powodu nawału zaległego materiału przesunęliśmy je do następnych numerów.

ZGON B. WICEMINISTRA OŚWIATY PROF. K. CHYLIŃSKIEGO.

We Lwowie zmarł b. wiceminister oświaty śp. prof. Konstanty Chyliński, profesor historii starożytnej na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Zmarły był wielkim przyjacielem młodzieży.

Cześć Jego Pamięci.

JANUSZ MEISSNER

KOŚCIUSZKOWSKA ESKADRA

Dnia 14 lipca 1919 roku do pewnej małej restauracji na ul. Wilsona w Paryżu wszedł amerykański oficer w mundurze lotnika i, usiadłszy w pobliżu okna wychodzącego na plac Diany, zamówił szklankę wody sodowej, po czym dopiero zdjął czapkę, otarł spocone czoło i rozejrzał się po sali. Było prawie pusto, bo wszyscy w tym dniu święta narodowego zgromadzili się przed Łukiem Triumfalnym i na Polach Elizejskich, by wziąć udział w rewii zwycięskich wojsk alianckich. Amerykański oficer właśnie stamtąd przyszedł, utorowawszy sobie jakoś drogę w tłumie. Miał się spotkać z przyjacielem w owej małej gospodzie, będącej niejako klubem oficerskim sztabu Amerykańskiego Lotnictwa w Paryżu.

Ten, na którego czekał, nazywał się Faunt - le - Roy. Major pilot Cedric Faunt - le - Roy z Chicago, dowódca jednej z najsłynniejszych eskadr bojowych w czasie Wielkiej Wojny.

Nadszedł niebawem i już od progu zawołał:

— Hallo, Cooper, jesteś nareszcie!

Uścisnęli się serdecznie. Kapitan Merian Cooper wracał z Polski, gdzie jako delegat Misji Żywnościowej Hoovera miał sposobność przyjrzeć się z bliska bohaterskim wysiłkom powstającego z niewoli państwa, wysiłkom o utrzymanie wolności zagrożonej zewsząd przez wrogich sąsiadów.

Opowiadał teraz o tym dalekim, nieznanym kraju i o jego armii, która krwawiła się w obronie jeszcze nieustalonych granic, głodna, źle odziana, pozbawiona nowoczesnych środków wojennych, a jednak potężna duchem i — jak dotąd — nie pokonana.

— Byłem we Lwowie — mówił.— Cóż to za miasto! Broni go garść młodzieży, starców, kobiet i dzieci. Biją się jak lwy — pomyśl, Faunt— zwyciężają! Zwyciężają wielekroć silniejszego przeciwnika, dobrze uzbrojonego i sytego.

— Ba — mruknął major. — Są Polakami. Umieją walczyć i umierać za wolność, nie tylko własną. Kościuszko i Pułaski są przecież t a k ż e naszymi bohaterami narodowymi...

— Właśnie — przerwał Cooper. — Myślę...

— Ja myślę o tym samym — powiedział Faunt - le - Roy. — Zrobimy to razem.

Zrozumieli się natychmiast: trzeba było pomóc tej młodej nielicznej armii straceńców; trzeba było stanąć w jej szeregach, jak niegdyś Polacy stanęli w szeregach walczących o wolność Gwiaździstego Sztandaru.

Faunt - le - Roy i Cooper nie byli marzycielami, których słowa daleko wyprzedzają czyn. W pierwszych dniach października 1919 roku wraz z pięciu innymi lotnikami amerykańskimi, których zwerbowali do służby w Polsce, zameldowali się u Naczelnego Wodza w Warszawie.

— Chcemy się bić za Polskę, aby spłacić dług zaciągnięty niegdyś wobec Niej przez Stany Zjednoczone — oświadczył Faunt - le - Roy.

Józef Piłsudski spojrzał im w oczy z uśmiechem.

— Dobrze — odparł po chwili. — Pokażecie, co umiecie.

Nie zapomnieli tych słów i tego spojrzenia: pokazali, co umieją.

Wysłano ich do Lwowa, gdzie połączyli się z 7-mą eskadrą bojową, wsławioną już w walkach z Ukraińcami. Odtąd eskadra ta nazywa się Eskadrą imienia Tadeusza Kościuszki.

Nowe samoloty i nowi piloci potrzebni byli na gwałt: w maju 1919 r. zginęli w czasie powietrznego ataku na okopy nieprzyjacielskie pod Kulikowem podporucznik pilot Kostrzewski i podporucznik obserwator Motylewski; wkrótce po tym — podporucznik pilot Garstka; samoloty, stare austriackie graty, właściwie nie nadawały się do użytku; po odbyciu 197 lotów bojowych w czasie 225 godzin zostało ich zaledwie dwa czy trzy, bo resztę zestrzelili Ukraińcy. I oto nadeszło wreszcie uzupełnienie: siedmiu lotników i dwanaście maszyn myśliwskich.

To było bardzo dużo na owe czasy. W historii eskadry odwracała się nowa karta, która już wkrótce zapisana została krwią polskich i amerykańskich bohaterów.

Samolot porucznika Noble dotknął kołami ścierniska, zakurzył suchym pyłem z pod ogona, dotoczył się do czterech innych maszyn stojących przed płóciennymi namiotami i wreszcie stanął. Śmigło wykonało jeszcze kilka wolnych obrotów i zatrzymało się z wahaniem.

Noble wyskoczył z gondoli, nabrał pełne płuca powietrza i, wydąwszy policzki, wydał głośny syk jak pociąg przybywający na stację.

— Pszszsz... Zmachałem się — powiedział do Coopera i Crawforda, którzy szli mu na spotkanie.

Cooper zapytał o wyniki lotu.

— Dwie godziny patrolowałem w rejonie Białopola (nasza kawaleria już tam doszła). Zrzuciłem meldunek w sztabie. Rozproszyłem kolumnę nieprzyjacielską pod Berdyczowem — wyliczał Noble.— Wracając, zostałem ostrzelany przez artylerię u zachodniej strony miasteczka. Ta bateria nie będzie mogła strzelać, póki jej nie przydzielą nowych kanonierów.

— A cóż się stało z tymi, którzy do ciebie strzelali? — zapytał Crawford.

— Źle strzelali. Ja to robiłem lepiej, a celowałem akurat w nich — odrzekł niewinnie Noble. — Teraz chciałbym trochę odpocząć i...

— Szalona okazja — przerwał mu Cooper. — Właśnie czekamy na ciebie, żeby całą piątką polecić jeszcze raz na Berdyczów. Odpoczniesz sobie w powietrzu. Szefie! — zawołał do mechanika, który wszedł do namiotu. — Porucznik Noble prosi o benzynę i oliwę do maszyny.

— I płótno! Płótno także! Oh, i klej — jęknął Noble. — Kadłub i skrzydła mam postrzelane jak sito. Trzeba je wyłatać.

Major Faunt - le - Roy już wzywał ich na odprawę przed startem. Na składanym stoliku w namiocie dowództwa leżały mapy i rozkazy. Rozdzielano zadania i rejony akcji.

— Noble, w dowód uznania za twoje dwa loty dzisiejsze i za te osiem godzin w powietrzu od piątej rano, darowuję ci dworzec kolejowy — powiedział dowódca. — Będziesz tam miał do czego strzelać. Cooper dostaje szosę zachodnią równoległą do toru kolejowego. Bolszewicy będą się na niej bronili zajadle; to główna oś natarcia naszych wojsk. Clark zaatakuje oddziały, które będą się wycofywać na wschód. Crawford i ja — miasto. No — do maszyn, póki słońce na niebie.

Ruszyli. Samolot Noble'a wyglądał jak upstrzony przez muchy, tyle w nim było otworów od kul, pozaklejanych kolorowymi krążkami płótna. Ale wiązania i linki sterowe, silnik i zbiornik były całe. Szef mechaników oświadczył, że wszystko w porządku.

Piątka w ciasnym szyku wzbiła się w powietrze i parła prosto na wschód, mając za plecami niskie, czerwone słońce.

To zachodzące słońce przyczyniło się do zwycięstwa: ukryci pod jego promieniami wpadli nad miasto niespodzianie i rozprysli się na trzy strony. Dopiero wtedy ich zauważono.

Porucznik Noble gnał w dół na dworzec. Widział z wysoka zapchane wojskiem perony i natłoczone pociągi towarowe. Na bocznym torze stał pociąg pancerny z dymiącym parowozem, otoczony przez załogę, której widocznie wydawano żywność.

Tam uderzył najpierw. Jego karabiny maszynowe zaczęły miotać się w łożach i szyć gęsto kulami. Prał w sam środek masy wojska, trzymając największe jej skupienie na celowniku. Mogło się zdawać, że wyrżnie samolotem o ziemię, tak nisko zszedł w dół.

Piekielnie gwizdały linki nośne, tnąc powietrze jak noże; silnik wył wściekle; maszyna rwała prosto na opancerzone wagony...

Wtem pilot ściągnął ster na siebie i śmignął w górę. Odbicie słońca błysło w lakierze skrzydeł: zwrot!

Leciał teraz wzdłuż szyn. Kule jego karabinów, ujadających bez przerwy, dzwoniły po betonowych peronach i siały śmierć. Minął stację, zawrócił znowu i grzmiał po dachach towarowych wagonów, po oknach stacji, po rowach, gdzie kryli się przerażeni sołdaci.

Pancerka uciekała pełną parą. Tory opustoszały. Pozostali tylko zabici. Ale z okien budynków zaszczekały nagle karabiny maszynowe i gruchnęły salwy ręcznej broni.

W pewnej chwili Noble poczuł uderzenie w prawy łokieć. Jakby go kto zdzielił kijem. Ręka opadła bezwładnie ze steru i już nie mógł jej podnieść.

— Jestem ranny — pomyślał i ujął lewą dłonią sterowy drążek.

Spojrzał w dół na zwisające ramię. W tym miejscu gdzie powinien był być jego łokieć, krwawiły się jakieś strzępy i bielały ostre drzazgi obnażonej, strzaskanej kości...

— Źle — mruknął.—Trzeba wracać na lotnisko.

W tej samej chwili poczuł ból, rosnący z każdą sekundą. Zaciął zęby i dodał gazu..

— Dolecę — postanowił. — Za mało mamy samolotów, aby ryzykować lądowanie byle gdzie.

Doleciał. 120 kilometrów prowadził maszynę omdlewając z upływu krwi i okropnego szarpiącego bólu. Wylądował gładko, jak na popisie i — stracił przytomność.

Odzyskał ją w parę godzin później, już po opatrunku w pociągu sanitarnym i natychmiast zapytał o wyniki natarcia na Berdyczów.

Miasto wzięto niemal bez walki na ziemi. Kapitan Cooper zmiótł załogę umocnień i rozpędził obsługę karabinów maszynowych u zachodnich krańców zabudowań. Porucznik Clark rozbił artylerię i wycofujące się bataliony piechoty na południo wschodzie. Major Faunt - le - Roy i kapitan Crawford nie dopuścili do użycia rezerw. Reszty dokonał Noble przyczyniając się poza tym do ucieczki polskich zakładników, których bolszewicy zamierzali wywieźć pociągami wgłąb Rosji.

Wszystko to opowiedział Noble'owi Cooper, który przyszedł go odwiedzić wieczorem.

— Mam dla ciebie pozdrowienie od szefa sztabu — rzekł na zakończenie. — Kazał ci wyrazić współczucie z powodu rany...

— Współczucie? — przerwał Noble. — Z powodu tego głupstwa?! Powiedz mu, że wdzięczny mu jestem za to, iż dał mi dziś okazję przysłużyć się trochę Polsce.

Po Berdyczowie — Biała Cerkiew. Eskadra codziennie jest w boju, nie dając chwili wytchnienia cofającym się bolszewikom. Kapitan Crawford ogniem swych karabinów maszynowych zapala statki nieprzyjacielskie na Dnieprze, powoduje wybuch amunicji i zatapia je w końcu s a m j e d e n; porucznik Rorrison i kapitan Corsi, zestrzeleni podczas ataku, na czele oddziału polskiej piechoty zdobywają swoje uszkodzone samoloty; dwaj inni piloci wraz z kapitanem Cooperem uniemożliwiają przeprawę bolszewików pod Rżyszczowem i Czerkasami, atakując samotrzeć i rozbijając w puch całe pułki.

Biją się jak szaleńcy. Zaklejają krążkami czerwonego płótna otwory od kul w kadłubach i w skrzydłach, które wskutek tego wyglądają zdaleka jak upstrzone przez muchy i latają dalej.

(Dokończenie nastąpi).

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Kol. K. G. — Kraków. Artykuły tego rodzaju, o których Koleżanka pisze, będą zamieszczane w piśmie na wiosnę.

Kol. Z. W. — Warszawa. Za miłe słowa pod adresem pisma bardzo dziękujemy. Współpracę Kolegi przyjmujemy chętnie. Polegać ma ona nie tylko na pisaniu samemu wierszy, nowel, artykułów, ale na zbieraniu ich od kolegów, prócz tego na kolportowaniu pisma. W tym celu przesyłaliśmy i przesyłać będziemy w dalszym ciągu 10 egz. „Mł. N." Życzymy powodzenia w pracy.

Kol. M. B. — Warszawa. Na współpracę Koleżanki godzimy się bardzo chętnie. List przesłaliśmy i czekamy na artykuły. Prosimy do Redakcji w godzinach popołudniowych dyżurów, w celu szczegółowszego omówienia spraw nas interesujących.

Kol. Z. S. — Kielce. Numer okazowy wysłaliśmy. Cieszymy się popularnością pisma na terenie Kielc. Legitymację wystawimy. Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. „Wuzetka" — Łódź. Zapał Koleżanki bardzo nas ucieszył. Współpracę zaofiarowaną przyjmujemy bardzo chętnie i prosimy o propagandę „Mł. N" na terenie szkoły. W tym celu przesyłamy 10 egz. do kolportażu; warunki w Nr 5. Życzymy powodzenia w pracy i przesyłamy serdeczne pozdrowienia.

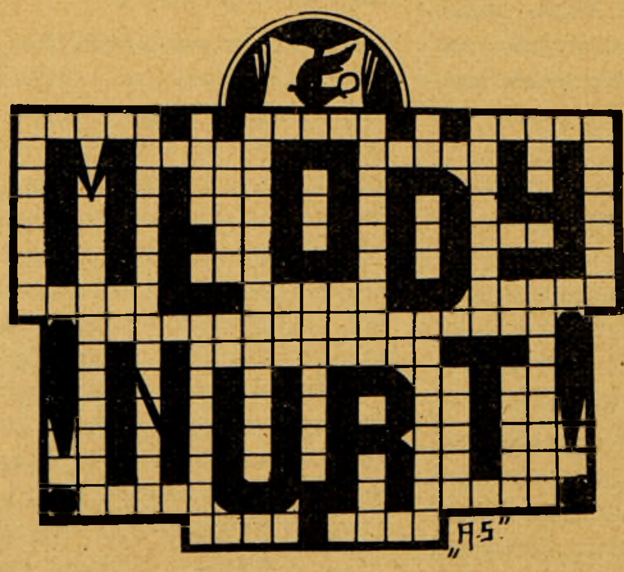
Kol. W. Ch. — wilno. Za list Kolegi dziękujemy.

Przesłaliśmy do kolportażu 10 egz. Nr. 10 „Młodego Nurtu", warunki w Nr. 5. Czekamy na dalsze prace i przesyłamy podrowienia.

Wszystkim Kol. Kolegom, którzy nie otrzymali w tym numerze odpowiedzi, komunikujemy, że stało się to z przyczyn od redakcji niezależnych. Odpowiemy listownie, lub w następny numerze.

KRZYŻÓWKA

ułożył A. Sokalski — Zdolbunów



Należy wpisać w puste kwadraty wyrazy pionowo i poziomo, żeby się krzyżowały. (Znaczenia podane rzędami).

Poziomo: Rząd 1. Spadek pozostawiony bez prawnych spadkobierców, Rozbójnik morski, korsarz, pirat. Czysty dochód po straceniu wydatków. Rząd 2. Miasto w Japonii. Muza pieśni miłosnych. Rząd 3. Knut, bicz. Rząd 4. Dopływ Sawy. Rząd 5. Mniemana siła w twierdzeniu Reichenbacha. Oddział konnicy z 200 ludzi (w staroż. Grecji). Rząd 6. Ptak, kleszczojad. Rz. 7 Zaliczka pieniężna. Inaczej: „ołacza". Świetny obraz. Rz. 8 Zecer składający szpalty w kolumny i formy do druku. Dwudziestościan foremny. Rz. 9. Dowódca szwadronu. Rz. 10. Tuż. Symbol srebra. Rz. 11. Egipski bóg słońca. Miara chińska. Rz. 12. Dopływ Ufy. „W" w jęz. niemieck. Rz. 13. „Dwa razy" w jęz. martw. Nuta. Południe (z chińskiego). Rz. 14. Gwiazdosz, roślina. Beczułka na wino. Rz. 15. Grecki bóg wojny. Szkic, zarys.

Pionowo: Rząd 1. Piuska, okrągła czapeczka księży. Rz. 3. Część geografii badająca rzeki i doliny rzeczne. Rz. 4. „Aby nie" w jęz. mart. Rz. 5 Zwolennik teorii wspólnego używania własności. Siepacz, zbir, oprawca. Rz. 7. W podaniach lud: osoba, przedmiot jako świętość nietykalna. Uzbrojenie okrętu, żołnierza. Rz. 8 Zasada, reguła. Jednostka oporu elektr. (wspak). Rz. 9. Powiększanie i pozorne zbliżanie przedmiotów, luneta. Rz. 10. Roślina z której wyrabiają opium (wspak). Rz. 11. Siłą. Gra na giełdzie. Rz. 12. Zwierz leśny. Rz. 13. Spółgłoska. Wyciąg. Miara długości. Rz. 14. Lit. grecka (wspak). Rz. 15. „Rosiada". Nabiał. Sukmana chłopów rosyjskich. Rz. 16. Starożytna kurta żołnierska, przewiązana w pasie. Rz. 17. Z wytworną grzecznością, po pańsku. Rz. 18 „Konstytucja demokracji" — skrót. Imię żeńskie, postać z „Balladyny" Słowackiego. Rz. 19. Pląs. Rękopis, dokumenty, akt właściwy. Rz. 21. Utwór sceniczny błahej treści.



SPORT

Idea międzynarodowej współpracy narciarskiej ma za sobą blisko trzydziestoletnią tradycję. Pierwszy międzynarodowy kongres odbył się w Oslo w roku 1910. Od tej daty rok rocznie, aż do wybuchu wojny światowej zbierają się przedstawiciele związków narciarskich na wspólne obrady. Wojna spowodowała ośmioletnią przerwę w międzynarodowych konferencjach, lecz nie stanęła na przeszkodzie rozwojowi narciarstwa, które w krótkim czasie stało się jednym z najpopularniejszym sportów. Walczące państwa zorganizowały specjalne oddziały narciarskie, które w okresie wojennym oddały walczącym wielkie przysługi w terenach górskich, a specjalnie w okresie srogich i obfitych w opady zim. Po przerwie spowodowanej zawieruchą wojenną zebrał się w Sztokholmie pierwszy powojenny kongres narciarski, w którym wzięło udział 6 państw. W dwa lata później przedstawiciele 12 państw, a między nimi i Polski uchwalili utworzenie międzynarodowej federacji, która z zestawienia pierwszych jej liter w języku francuskim — Federation International de Ski — dała skrót FIS. Zawody Federacji postanowiono rozgrywać corocznie z wyjątkiem tych lat, kiedy wypadają Olimpiady Zimowe.

Pierwsze zawody FIS-a zorganizowane zostały w roku 1925 w Jańskich Łaźniach w Czechosłowacji. Spośród Polaków najlepszy wynik osiągnął Bujak Józef, zajmując 14-te miejsce w biegu na 50 km. Drugi nasz reprezentant Mickenbrunn nie odegrał poważniejszej roli. W zawodach tych na pierwsze miejsca wysunęli się Skandynawowie i Czesi, którzy byli najlepsi spośród ekip środkowo - europejskich. Następne zawody odbyły się w Cortina d'Amprezzo we Włoszech, gdzie Bujak w maratonie narciarskim uzyskał powtórnie 14-te miejsce, zaś w biegu na 18 km, wschodząca gwiazda polskiego narciarstwa, Bronisław Czech zajął 12-te miejsce, zaś w ogólnej klasyfikacji ulokował się na zaszczytnym 6-tym miejscu.

W następnym roku w Saint Moritz osiągnęli Polacy pierwsze większe sukcesy. W biegu na 50 km. Krzeptowski zajął 13-te miejsce, zaś Czech w kombinacji alpejskiej 5-te, bijąc wszystkich środkowo - europejczyków i ulegając jedynie Skandynawom. W skokach zawiodły go nerwy i choć był faworytem, przy pierwszym skoku upadł, drugi zaś osiągnął długości 60 m. zajmując ogólnie w biegu złożonym 10-te miejsce.

W roku 1927 na kongresie w Cortina d'Amprezzo do zarządu Federacji wszedł pierwszy przedstawiciel Polski pułkownik A. Bobkowski, obecny i pierwszy prezes Polskiego Związku Narciarskiego. W roku następnym na kongresie w Saint Moritz, Federacja uchwaliła urządzić pierwsze oficjalne zawody w lutym 1929 roku, których organizację powierzono Polsce. Fakt ten był nielada sukcesem dla Polski. Polski Związek Narciarski wywiązał się z powierzonej misji jak najlepiej, a zima dopisała w pełni. Organizacja zawodów była tak doskonała i bez zarzutu, że goście zagraniczni nie mieli dość słów zachwytu. Stolica naszych sportów zimowych była świadkiem pięknych sukcesów naszych zawodników, którzy zdobyli zdecydowany prymat w Europie środkowej.

W biegu złożonym Czech zajął 4 miejsce, jego brat Władysław, Szostak i wielu innych zdobyło również zaszczytne, aczkolwiek dalsze miejsca. Bieg pań wygrała Staszel - Polankówna, zaś pierwszy raz w zawodach FIS-a rozegranym biegu zjazdowym zwyciężył Bronek Czech, bijąc renomowanych zawodników angielskich. Poza tym nasz patrol wojskowy zajął w bardzo silnej i licznej konkurencji 4 miejsce. Gdyby te dwie ostatnie konkurencje zaliczone zostały do oficjalnej punktacji, Polska byłaby się znalazła na 3 miejscu, za Norwegią i Finlandią, a przed Szwecją. Ponieważ zarówno wynik patrolu wojskowego jak i bieg zjazdowy nie były brane pod uwagę — Polska zajęła ex aequo z Niemcami 4 miejce. Ówczesne zawody były kulminacyjnym punktem rozwoju naszego narciarstwa. Osiągnęliśmy wyniki doskonałe zarówno pod względem ilościowym jak też i jakościowym oraz dysponowaliśmy wówczas całym szeregiem zawodników o wysokiej klasie międzynarodowej.

Następne lata stoją pod znakiem załamania się poziomu naszego narciarstwa; jeden jaśniejszy punkt to wicemistrzostwo świata w skokach zdobyte przez St. Marusarza w r. 1938 w Lahti.

Tegoroczne mistrzostwa zbiegają się z 20 rocznicą istnienia PZN., któremu przypada w udziale już poraz drugi zaszczytna misja organizacji podobnych zawodów . Mistrzostwa prócz wielkiego znaczenia sportowego z turystycznego punktu widzenia posiadają doniosłe znaczenie. Powodzenie ich staje się trwałym wkładem w gospodarkę turystyczną i przyczynia się niemało do podniesienia prestiżu państwa, w którym się odbywają. Turystyka stwarza poza tym duży popyt na pewne artykuły i przysparza nowe rynki zbytu. Stanowi też ona świetny środek propagandy gospodarczej kraju. Widomym znakiem doceniania tej imprezy przez czynniki najwyższe jest przyjęcie przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego i Pana Marszałka Polski Edwarda Śmigłego - Rydza protektoratu nad tegorocznymi narciarskimi mistrzostwami świata.

er.

F. I. S.
w 1929 r.



Grupa zawodników angielskich. Pierwsza z lewej Elliot zwyciężczyni biegu zjazdowego r. 1929



Bieg pań wygrała w r. 1929 poza konkursem Staszel-Polankówna.

LAUREAT PAŃSTWOWEJ NAGRODY SPORTOWEJ







Najlepszy polski skoczek i wszechstronny narciarz STANISŁAW MARUSARZ, otrzymał dnia 31 stycznia 1939 r. najzaszczytniejsze trofeum sportu polskiego:

Państwową Nagrodę Sportową.

ST. MARUSARZ z małego niepozornego juniora, skaczącego z olbrzymią brawurą na starej Krokwi, w ciągu lat wyrósł na atutowego „asa" sportu polskiego, a to dzięki swej pracy i wielkiej ambicji. W roku 1932 w Lake Placid zajmuje 7 miejsce, wygrywając jednocześnie poraz pierwszy mistrzostwa Polski i konkurs skoków na Krokwi. W cztery lata później w Garmisch zajmuje już 5 miejsce zagrażając asom skandynawskim. Jego klasa poprawia się stale i dochodzi do największego dotychczas poziomu w ub. r. w Lahti — gdzie Marusarz zdobywa wicemistrzostwo świata. Możemy być pewni, że przyznanie nagrody będzie dla niego bodźcem do wytężenia wszystkich sił na tegorocznych zawodach FIS, a zwłaszcza w konkursie skoków, który odbędzie się na tej samej skoczni, na której stawiał on przed laty swoje pierwsze kroki.

REDAKTOR: Bolesław T. Łaszewski. WYDAWCA: Koncern Prasowy M.S.Wojsk P.U.W.F. i P.W. Kultura Fizyczna

Strona graficzna: Leonard Rutkowski.

Prenumerata roczna (10 miesięcy) — zł. 2,80, kwartalnie — 0,85. Numer pojedyńczy 15 gr. Konto rozrachunkowe nr 362.

Ceny ogłoszeń: 1/1 — 500 zł; 1/2 — 275 zł; 1/4 — 150 zł; 1/8 — 80 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Łazienkowska 3. Codziennie od 10—14, ponadto we wtorki i piątki od 16.30—18.30.

Tel. Redakcji 8-50-08. Tel. Administracji 9-95-62.

Drukarnia »Społeczna«, Warszawa, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80.